ROK IV 20 GRUDNIA 1924 NUMER 15



Listy o Modzie

Paryż, w grudniu 1924 r.

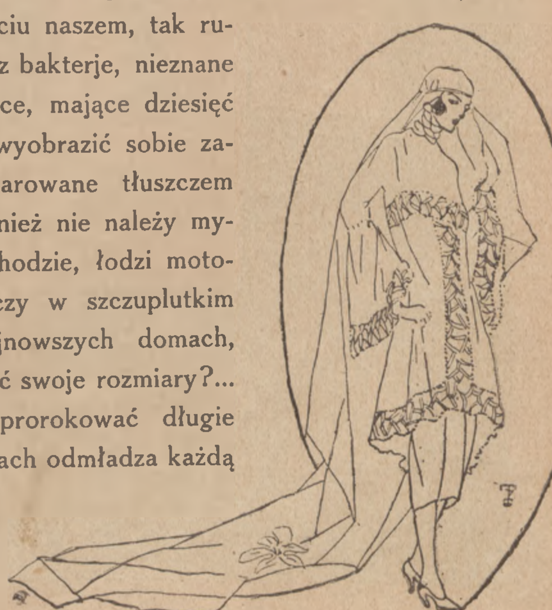






Carissima!

Obiecałam Ci w grudniu napisać, jaką postać przybrała wreszcie Moda, czyli: jak z zapowiedzi jesiennych licznych firm skrystalizowała się sylwetka kobieca na sezon 1924—25. Otóż chwalona przez jednych, ganiona przez drugich, Moda wciąż jest tą wielką tyranką, której słodkie, zmienne a kolorowe jarzmo z rozkoszą dźwigają wszystkie cywilizowane kobiety. Przyznać bowiem należy, że raz przynajmniej jest ona logiczna względem estetyki paryskiej, szanując linje jej i okrągłości... o ile ich nie akcentuje zbyt dokładnie, zanadto szczegółowo... Te zuchwałości — przeciwko którym protestują Ojcowie i Doktorowie Kościoła, oraz wybredni esteci — nie przedstawiają zresztą nic interesującego i powabnego i mało, bardzo mało kobiet może i umie nosić je z wdziękiem. Poza tymi wybrykami i skróceniami nieraz powyżej kolan, Moda jest nieskończenie piękna i rozsądna. Bo, pomyśl sama, droga Zosiu, cobyśmy poczęły w życiu naszem, tak ruchliwem i zajętem, zaludnionem przez bakterje, nieznane dotychczas, gdybyśmy nosiły spódnice, mające dziesięć metrów obwodu. Czy potrafisz je wyobrazić sobie zamiatające chodniki i drogi, wysmarowane tłuszczem samochodowym? O krynolinie również nie należy myśleć... Gdzie, w jakim wozie, samochodzie, łodzi motorowej, małem *coupé* w pociągu, czy w szczuplutkim pokoiku-klatce, budowanym w najnowszych domach, mogłaby poważna krynolina pomieścić swoje rozmiary?...



A modzie dzisiejszej można prorokować długie życie, gdyż w szczupłych swych ramach odmładza każdą kobietę, i tak już „bardzo młodą“ przez strzyżenie włosów, kark zupełnie obnażony, *à la garçon?* Zapewne, że nieco więcej szerokości



ułatwiłoby chodzenie, będące dziś bardzo zawiłą sztuką. Brak tej sztuki bywa powodem częstych katastrof przejechania. Szerokość tę otrzymujemy przez wkładki *godets*, rozchylające się u dołu przy rytmie chodzenia, albo zakładki zaprasowane silnie. Słynny mistrz Mody Paul Poiret — próbuje lansować więcej szerokości oraz podnieść stan w okolicę rzeczywistego. Próby bardzo miłe i ciekawe, ale narazie niemające większych widoków powodzenia.



W sezonie tym, korzystając z ostatnich dni jesieni, ukazuje się na promenadzie dużo tak modnych *trois-pièces*, co jest nazwą zupełnie nielogiczną, gdyż ubranie to składa się z dwóch — nie z trzech — kawałków, t. j. sukni i odpowiedniego żakietu. Zwykle górna część sukni bywa z materjału lżejszego, odmiennego od dolnej części sukni, do której stosuje się paltocik. Dużo futra na przybranie, futro o nazwach dziwacznych, a trudnych do określenia, jako rodzaj i gatunek. Np. futra *tigrette* dostarcza królik albo kot. Małpy, szczególniej do przybrania, sprzedawane na metry, najczęściej pochodzą od psów długowłosych. Często sam kuśnierz zachodzi w głowę, skąd pochodzą te prześliczne imitacje chinchilli, soboli, nurków, gronostajów, lisów, fok, popielic, bobrów itd. Jest to już niezbadaną tajemnicą fabryk, najczęściej niemieckich, skąd zwykle szczury, chomiki, koty, psy, wiewiórki, kuny itd., rozchodzą się na świat cały pod szumnemi imionami i w zmienionej zupełnie postaci.











Najczęstszym zarzutem, czynionym Modzie obecnej, jest to, że stroje wszystkie podobne są do siebie, jak uniformy pensjonarskie, że oko nie chwyta odrazu różnic i szczegółów. Istotnie, na pierwszy rzut oka wszystkie panie wydają się ubrane w mundurach, co się tyczy kroju i ozdób. Jest to błąd wielki. Radzę Ci, Zosienko, być bardziej spostrzegawczą, a ujrzysz wówczas, poza smukłą chwiejną linją modnej sylwetki, mnóstwo szczegółów i szczególików zupełnie odmiennych, stanowiących o całości. Moda paryska zawsze się odznaczała wielką prostotą kroju i pięknem szczegółów. Jakieś guziczki, czasem *passe poil*'ka odmienna lub szew stebnowany kolorowym jedwabiem, kwiatek lub monogram wyszyty — nadają odmienne *cachet* całości.

Pytasz, jakie są zapowiedzi na wieczory i bale? Otóż mniejszy, skromny dekoltaż, szczególniej z przodu (plecy jeszcze pokazywać wolno, o ile kto ma je ładne), krój koszulkowy, oblepiający kształty kobiece. Materjały? Lama i koronki, koronki i lama, oraz

Anny Linker
Robe et manteau en lainage fantasie rouille fourrure petit gris

Suknia i płaszcz z wełny koloru rdzy, przybrane popielicami





Molyneux
Manteau en veloure noir brodé argent et or, fourrure ours teinté or

Płaszcz strojny z aksamitu czarnego, zahaftowanego srebrem i złotem, przybranie z futra niedźwiedziego, przyprószonego złotem

mnóstwo piór strusich. Czasem, zda się, kobieta wyrasta śród pęków piór białych lub kolorowych. Dużo frendzli, szkiełek, pereł i paciorków. Dawniej, za czasów sukien długich, obręby spódnic wystrzępiały się, ku zgryzocie swych właścicielek. Dziś *fourreaux* pękają, jak owoce zbyt dojrzałe, znów ku rozpaczy swych obnażonych właścicielek! Już po godzinie tańców nogi stawiają misterne *pas*, depcąc szkiełka, dżety, perelki, kryształki, a frendzle białe, jak opadłe w upale kwiaty, pokrywają całą podłogę sali tanecznej.

Na Nowy Rok przyszlę Ci kilka modeli sukien balowych oraz ten duży wachlarz, nazwany przez Ciebie „krzakiem białej tęsknoty“.

Paula Ł.

P. S. Pytasz mnie, czy można do kostjumu, płaszcza lub futra nosić kolorowe skarpetki wełniane? Jakto na ulicę? Ależ to chyba gdzieś „w krainie Botokudów“ jak powiadają Francuzi! Skarpetki te przeznaczone są do sportu, na szerokie przestrzenie śnieżne, gdzie wyglądają bardzo dobrze i są istotnie potrzebne i użyteczne. Ale na ulicę! Shoking! W każdym razie, moja Zosienko, mam nadzieję, że Ty tego nie będziesz nosiła, chodząc po Alejach, czy po Marszałkowskiej. Do miasta dobre są śniegowce, no i botki.

P. Ł.







Cara
Robe d'après midi en velours de laine nègre, garnie velours de laine beige

Suknia popołudniowa z aksamitu wełnianego „nègre“, przybrana aksamitem „beige“

Valanciennes
Manteau de rison

Płaszcz z nurków

Zimmermann
Robe crêpe georgette rose perlée cristal fleur en ruban rose et argent

Suknia wieczorowa z krepy „Georgette“ różowej, obsypana perełkami i kryształkami, kwiat z wstążek różowych i srebrnych

MICHAŁ ROLLE

UDZIAŁ KOBIETY W TEATRACH AMATORSKICH NA KRESACH WSCHODNICH

Młodzież małopolska, z b. Kongresówki, a nawet z Poznańskiego nie jest w stanie odczuć, czem dla t. z. zabranych prowincji (Podola, Wołynia i Ukrainy) były polskie teatry amatorskie.

Po rozbiorach Polski prowincje te przez czas jakiś mogły żyć życiem swoistem, narodowem. Aleksander I, liberalizujący zrazu ku zachwytowi zachodnich swoich wielbicieli, nie znających dostatecznie prawdziwej duszy rosyjskiej, zgodził się pod wpływem towarzysza swego z lat dziecinnych, Adama ks. Czartoryskiego, na otwarcie uniwersytetu wileńskiego i gimnazjum krzemienieckiego.



Wpływ obu tych placówek polskiej myśli i kultury na nasze kresy wschodnie był ogromny. Powstrzymał on na czas dłuższy ich rusyfikację; dodał otuchy i hartu do **przetrwania** późniejszych prześladowań; pozwolił w pełni nadziei w lepsze jutro doczekać zmartwychwstania Polski i zjednoczenia Wołynia i Litwy w nierozerwalną już całość z Macierzą.



Tadeusz Czacki działał w Krzemieńcu cuda. To wiadome powszechnie. Pracy jego obywatelskiej na kresach poświęcono już szereg dzieł. A była ona istotnie fenomenalna, przerastająca — zdawałoby się — siły jednego człowieka. Obok wzorowej szkoły, zmienionej z czasem na liceum, stworzył bujne życie kulturalne i towarzyskie. W tem ostatniem odgrywa teatr amatorski rolę niepoślednią. O teatrach amatorskich w Krzemieńcu nie posiadamy szczegółów zbyt wiele, natomiast Antoni Andrzejowski w kapitalnych „Ramotach starego Detiuka o Wołyniu", rozpisuje się szeroko o tego rodzaju rozrywkach we dworze Walewskich w Turczynie. Brała w nich udział młodzież krzemieniecka, z czego łatwo wysnuć wniosek, że szkoła Czackiego dawała impuls i podnietę do przedsięwzięć tak wysoce kulturalnych.

Wprawdzie dekoracje malował pan Andrzejowski, wybitny botanik i artysta-malarz w jednej osobie, ciężar w urządzeniu przedstawienia spadał na panienki. W ich drobnych rączkach zbiegały się wszystkie nici i niteczki. One przygotowywały kostjumy, myślały o tysiącach drobiazgów, w czasie przedstawienia zaś pobijały na całej linji płeć męską wdziękiem, finezją w odtwarzaniu postaci i inteligencją gry.

Złośliwy mógłby powiedzieć, że kobieta jest z urodzenia komedjantką, że kawalerowi kresowemu natomiast trudno przychodziło wleźć w skórę jakiegoś dandysa stołecznego czy małomiasteczkowego świętoszka. Rozstrzygać zagadki tej nie mam zamiaru, uczynię jeno uwagę, że komedjanctwo w życiu może nawet bodaj wyklucza dobrą grę sceniczną. Inne więc powody złożyć się musiały na to, że sukcesy panienek bywały świetniejsze od sukcesów ich partnerów, przedewszystkiem zaś większe skupienie myślowe i szanowanie powierzonej im roli.

Obok Turczyna słynął z ożywionego ruchu towarzyskiego Mizocz Karwickich. I tu teatry amatorskie były w modzie, i tu płeć nadobna dzierżyła palmę pierwszeństwa. Podobnie rzecz się miała i w innych dworach kresowych.

Do powstania 1831 r. władze rosyjskie nie czyniły żadnych przeszkód w urządzaniu przedstawień amatorskich po domach polskich. Większych represyj w tym kierunku nie stosowano i później, dopiero rok 1863 — choć Podole nie brało w tym ruchu narodowym bezpośredniego czynnego udziału, bo brać nie mogło — odsłonił właściwe rosyjskie oblicze, represje rozpoczęły się na całej linji, dotknęły też i teatr polski, tak publiczny, jak i amatorski.

Przed tą datą pamiętną istniały teatry polskie w Żytomierzu i w Kamieńcu Podolskim. Wołyńskim opiekował się troskliwie Józef Ignacy Kraszewski; dyrektorem podolskiego z ramienia miejscowego ziemiaństwa był znany powieściopisarz, człowiek rzadkiego wprost temperamentu, Piotr Jaksa Bykowski.

Teatr kamieniecki posiadał doskonały zespół artystów, a gdy mu z czasem polecono sztukę polską poprzedzać jednoaktówką rosyjską, grano ją wobec pustych krzeseł, nawet bowiem gubernator miejscowy, pragnąc spędzić wieczór w teatrze, kazał sobie komisarzowi policji sygnalizować, kiedy skończy się rosyjska jednoaktówka.

Obok tych dwu teatrów pracowały z mniejszym lub większym sukcesem, trupy prowincjonalne, odwiedzające kontrakty dubieńskie, jarmarki jarmolinieckie, Równo, Łuck i inne miasteczka. Na tem polu zasłynął artysta-ideowiec nie przeciętny, Seweryn Malinowski.

Społeczeństwo kresowe mogło więc widzieć niejedno, rozkoszować się płynącem ze sceny słowem polskiem, współżyć z bohaterami komedji czy dramatu.

Z rokiem 1863 rwie się barwna nić teatru polskiego w t. zw. zabranych prowincjach. Język polski wyzuty z przysługujących mu praw, cofa się w mury świątyń katolickich i w cztery ściany mieszkań prywatnych. Resztę terenów życia publicznego opanował wszechwładnie język urzędowy.

Teatry amatorskie polskie, odczuwając doskonale oddziaływanie żywego słowa na tłum, skazał rząd rosyjski również na śmierć nagłą a niespodziewaną. Uzyskanie pozwolenia na urządzenia takiej rozrywki w domu prywatnym, należało do rzadkości, do faktów, które stanowiły temat rozmów przez długie tygodnie.



I teraz dopiero występuje w całej pełni znaczenie teatrów amatorskich w pracy narodowej danego społeczeństwa. Teraz zjawia się jako zasłużona działaczka na tem polu kobieta polska.

Było to zupełnie naturalne i logiczne.

Młodzież polska męska, wychowywana w dziewięćdziesięciu procentach w średnich i wyższych szkołach rosyjskich, jedynie w domu — o ile o to rodzice mieli możność zabiegać — uzupełniała swe studja przez poznawanie literatury i historji polskiej.

(D. n.)

MARJA DUNIN-KOZICKA

JAK PANNA LALA WYSZŁA ZAMĄŻ

Dworek stał kędyś w odległej części miasteczka, strojny koronkami firanek w lśniących od czystości oknach, biały pod czerwienią dachówek, opasany wokoło rabatami kwiatów, owiany szumem starych drzew. Niewielki ogród owocowy wywdzięczał się mieszkańcom dworku za troskliwą opiekę nad szczepami, przynosząc im co roku hojne plony na obciążonych gałęziach. Dworek tak był wycackany, jak dziewczę na pierwszy bal, jak niemowlę w koronkowym płaszczyku, śmiejące się do słońca różową buzią. Cztery kolumienki wspierały ganek wejściowy, dębowe drzwi w bronz okute, zamykały wstęp do ślicznej siedziby.



Mecenas Juljusz Szpakowski chlubił się tak nią, jak i pięknymi zbiorami, zdobiącemi wnętrze dworku, jako wynikiem wieloletniej pracy i przedsiębiorczości. Czynił przytem aluzje okrągłe i tęczowe, niby bańki mydlane, do własnego nazwiska. Godziwem jest najzupełniej, gdy człek w dobra doczesne bogaty, a z główki własnej, jako pająk pajęczynę, dobra te wysnuwający, mile siebie niekiedy pogłaszcze. Dziwniejszem jest o wiele, gdy wrogowie i przyjacioły na jednej fujarce z nim razem przygrywają. „Ho, ho! Nie w ciemię on bity! Szpakami za młodu karmiony! Niedarmo Szpakowskim się zowie!" Pani Opinja, krzykliwa despotka małego, małopolskiego miasteczka, dama o niepohamowanym temperamencie, zwinnym języku i zaszarganej w błocie „kombinacji" przynajmniej dziesięć razy na tydzień trąbiła ten wdzięczny duecik, niby koszarowy, przenikliwy capstrzyk. Pan Szpakowski miał jednak filozofję własną i niegorszą wcale od wymysłów jakichś tam już zatęchłych i nieświeżych antycznych greckorzymskich mózgów: „Słyszeć to, co się chce, reszta — wiatr!" Żył sobie tedy dalej w szparkiej ruchliwości adwokackich spraw, w promieniach uczuć doskonałej żony i ślicznej córki, w zdobnych ścianach wykwintnego dworku, równy Petronjuszowi, gdyby ten światło ujrzał w Kołomyji, wyższy od Djogenesa, bez względu na to, gdzie go matka powiła.



— — — — — — —

Drobne nóżki panny Lali biegły śpiesznie po bruku miasteczka, zdążając ku domowi. Dopadła wreszcie furtki i tak ją w pośpiechu za sobą rzuciła, iż angielska klamka zatrzasnęła się z suchym łoskotem. Na powitanie dziewczyny wyskoczył ciemnobury wilczur i poszczekując z zapałem, wspiął się przedniemi łapami na jej ramiona.

— Do budy, Lord! Żądam więcej szacunku, mój panie! Jestem narzeczoną od godziny! Rozumiesz, przyjacielu?!

Lord nie zdejmował jednak łap i wywijał niezmordowanie ogonem, chwaląc widocznie zamiary swej pani. Panna Lala zwinnym ruchem wysmukłej postaci uwolniła się z jego objęć i wbiegła do kuchni.

— Nastusiu! Gdzie pani!

Nastusia, dziewica w wieku podejrzanym, dumna z tego, czego nie straciła, zawzięta na mężczyzn, nie napastujących jej nigdy w celach „uczciwych", siekała z pasją kotlety.

— Pani w jadalnym, a panienka niech psa nie uczy rozpusty! Od kuchni wara! Przejedzie mi po szafliku jęzorem i dopiero posłyszę od pani wielkanocne kazanie! — gderała zapamiętale, pędząc Lorda z przybytku czystości.

— Panna Lala złożyła głęboki ukłon: Przepraszam, ale poprawy nie obiecuję! Niedługo już tu wam będę zawadzała! Za miesiąc będę panią porucznikową! Ani mniej, ani więcej! A choć Kostusia zna mnie od bębna, nie poważy się już tak mi wydziwiać od rana do wieczora! Aha!!

Nastusia oderwała wzrok od stolnicy i z osłupieniem zwróciła głowę w stronę przyszłej porucznikowej, lecz ujrzała tylko fiołkową sukienkę, znikającą w półotwartych drzwiach.

— Ot, czego się zachciewa! — mruczała z niechęcią — ślubnych przysmaków!! Żyje se człowiek 40 lat i na chwałę bożą obywa się bez tych tam frykasów! Uwa! Wielki mi rarytas! A te mężczyzniska wszystkie z piekła rodem! Na stare lata żonka mu nie w smak! Każdy ma jakąś Mazepę!!! — i siekacz znowu zabębnił zawzięcie po stolnicy.

— — — — — — — — —

— Stało się, Mateńko! Zwycięstwo na całej linji! Oświadczyny, zgoda, przypieczętowanie umowy pocałunkiem... ale w rączkę... w rączkę, wiem com winna zasadom rodu! Zresztą ktośby jeszcze z boku podpatrzył i Kołomyja mogłaby wylecieć w powietrze od wybuchu bomby!! Zyg, Zyg, Zyg, mój najmilszy!! Ach, to było poprostu cudowne! — i panna Lala rzuciła się matce na szyję.



Pani Elżbieta wzniosła do góry łyżkę, którą nakładała do słoików mistrzowsko usmażone truskawki i tak trwała chwilę w milczącej zgrozie, niby nowożytna Niobe. Powłóczyste krople różowego syropu spływały powoli na stół.

— Szalona dziewczyno!!... A ojciec?!... — wyjąkała wreszcie, przecierając wolną ręką oczy, jak człowiek, wracający do przytomności po tęgiem uderzeniu kijem.

— Ojciec?!... Wyburzy się i pozwoli, bo pozwolić musi! Wszystko ma swój koniec, nawet szały tajfunu, sirokko i innych demonów pustyni! Czemże jest wobec tego gniew człowieka?! Zresztą wiesz, Mateńko, że my, młodzi, inaczej myślimy, niż wy! Z tem trzeba się zgodzić! Kocham was, ale męża nie dam sobie narzucić! Mam prawo tak swoje życie ułożyć, jak mi to najbardziej do smaku przypada! Zato potem, jeśli los zaśpiewa mi falsetem — nie będę wam psuła starości wymówkami! I w tem jest wdzięk! (D. n.)

Teatry

GWIAZDA POLSKIEGO EKRANU

Wywiad z p. Jadwigą Smosarską



P. JADWIGA SMOSARSKA

— Hallo! Czy pani Smosarska? Tutaj korespondentka „Świata Kobiecego“, chciałabym prosić Panią o maleńki wywiad.

— Najchętniej... tylko... tylko obecnie jestem tak szalenie zajęta! Czy nie zechciałaby pani przyjechać do mnie do teatru... będę na próbie.

Zgadzam się naturalnie. Wiem, że nazajutrz jest premjera Henryka IV i że pani Smosarska gra w tej sztuce. Jadę więc do Teatru Polskiego.

Pani Smosarska przyjmuje mnie w garderobie.

Szare ściany zawieszone fotografjami wyciętemi z ilustracyj, szereg toaletek, wielkie lustro, jakaś wiązanka sztucznych kwiatów, porzucony gdzieś na stoliku damski kapelusz. Ot, zwykła, przeciętna garderoba teatralna. A na tem tle śliczna, urocza „królowa polskiego filmu“. Skromna, a jednak wykwintna sukienka w wielkie kraty, narzucony na ramiona płaszczyk fokowy, maleńki kapelusik z błyszczącej lamy. W ruchach jej, w głosie spokojna przemiła prostota, w każdej pozie, w każdem poruszeniu jest wdzięczna, czarująca ba, ładniejsza jeszcze, jak na ekranie.

Zaczynamy gawędzić. Pani Smosarska kocha ekran; mówi o sztuce filmowej gorąco, z przejęciem, w słowach jej czuć szczery, bardzo młodzieńczy zapał. Wspomina pierwszy swój występ na ekranie (w „Cudzie nad Wisłą“) zapoznaje mnie z tajemnicami przygotowania obrazu.

Praca artystki filmowej jest ciężka i żmudna (wcale nie tak słodka, jak o niej marzy każdy podlotek, każda niemal zawiedziona w miłości dziewica, których szczytem pragnień jest zostać „gwiazdą“). Zapoznanie się z rolą, wystudjowanie typu zabiera około 2 miesięcy, sama gra do aparatu trwa mniej więcej półtora miesiąca. Wówczas — mówi pani Smosarska — pracuje się przez cały dzień bez przerwy, bez odpoczynku. Nerwy są w szalonem wprost napięciu, fizyczne zmęczenie odbiera siły, a roboty przerwać nie można.

— A jednak mimo to — zapytuję — czy pani poświęci się całkowicie ekranowi?

— Jak dotąd — odpowiada z przemiłym uśmiechem „gwiazda“ — było to niemożliwe. Grywałam tylko dla „Sfinksa“. Wytwórnia ta (jedyna z polskich przedstawiająca się solidnie) wypuszcza rocznie jeden obraz. Jedna rola na rok dla artystki ekranu to stanowczo zamało. Miałam wielokrotne propozycje za granicę. Z Berlina, z Francji. Nie chciałam wyjeżdżać, wolałabym grać w polskich obrazach; zresztą trochę trzymał mnie teatr, którego nie chciałam porzucać. Obecnie ulegając namowom zdecyduję się prawdopodobnie na przyjęcie któregoś z tych *engagements*.

— Czy nie zobaczymy pani przedtem w jakimś nowym obrazie „Sfinksa“?

— Prawdopodobnie tak. „Sfinks“ zamierza przystąpić niedługo do roboty nowego obrazu. Dostanę już inną rolę. Puszczą mnie teraz na salony.

— A która z dotychczasowych ról najbardziej pani odpowiadała?

— W miarę jak się gra, każda nowa rola coraz bardziej zajmuje. Mój *genre* zresztą to rola istot dobrych, ciemiężonych. Ja na ekranie muszę cierpieć. O tem zresztą decyduje typ urody. Zmiana roli jest jednak konieczna, w przeciwnym bowiem razie łatwo jest się zmanjerować. Farsa niezbyt mi odpowiada, ale w komedji zagrałabym bardzo chętnie.

— Które z gwiazd międzynarodowego ekranu cieszą się pani największą sympatją?

— Liljana Gish, Mary Pickford, Henny Porten — i Pola Negri.

Na korytarzu słyszę ruch. Próba zaczęła się. Inspicjent wywołuje artystów.

Nie chcę przeszkadzać pani Smosarskiej, więc rzucam tylko jeszcze zasadnicze pytanie, czy w Polsce w obecnych warunkach może artystka poświęcić się jedynie ekranowi, biorąc to oczywiście z punktu widzenia materjalnego.

Pani Smosarska potwierdza moje przypuszczenie. Obecnie jest to jeszcze niemożliwe z powodu zbyt słabej wytwórczości i małego zasobu kapitałów,



P. Smosarska w filmie „O czem się nie mówi“

jakiemi nasze wytwórnie rozporządzają. Może kiedyś... a tymczasem i ta jedyna nasza gwiazda opuści kraj i zabłyśnie nam może kiedyś z ekranu, w obcym filmie.

Dziękując za miłą pogawędkę, żegnam panią Smosarską i opuszczam gmach teatru z przeświadczeniem, że „gwiazda" przy bliższem z nią zetknięciu nie tylko nie traci blasku lecz jeszcze go zyskuje. Oby wszystkie były pod tym względem podobne do wybornej odtwórczyni „Poranka", „Niewolnicy miłości" i biednej Kazi z „Tajemnicy przystanku tramwajowego".

Ir. K.

KRAKÓW *Grudzień 1924*

Kraków ujrzał po trzynastu latach wznowienie „Legjonu" Wyspiańskiego.

Dzień, w którym z desek teatru im. Słowackiego przemawia najpotężniejszy z naszych poetów-wizjonerów, jest zawsze dla Krakowa dniem uroczystym. To też i wznowienie „Legjonu" oczekiwane było przez publiczność Krakowa z najwyższem napięciem, tembardziej, że przynieść ono miało poza wielkiem słowem Wyspiańskiego interesującą nowość, polegającą na zasadniczej zmianie inscenizacji dzieła.

Naszej inscenizacji „Legjonu" dokonała znakomita artystka p. Stanisława Wysocka, odbiegając nią daleko od pierwszej, w jakiej przed trzynastu laty wystawił dzieło Ludwik Solski. Pierwszą zmianą, za którą należy się szczery dank artystce-reżyserce, jest wystawienie dwu opuszczonych dawniej scen: piątej, w celi ks. Jełowickiego i ostatniej („Ponad wielkiemi wodami"), w której potężny nastrój wywołuje ukazana na tle szarego nieba łódź z dużym pochylonym skośnie krzyżem, którego wierzchołek opiera się o szczyt żaglowego masztu. W ten sposób zobaczyliśmy na scenie cały wreszcie „Legjon", wszystkie jego scen dwanaście, a ostatnia, będąca kwintesencją dzieła, kończąca się słowami: „Zmartwychwstaniecie młodzi" w dzisiejszej specjalnie chwili nowego życia narodu ogromne sprawiała wrażenie.

Drugą nowością, wprowadzoną przez p. Wysocką była przemiana dekoracji. Artystka, wychodząc z założenia, że teatr Wyspiańskiego jest teatrem nawskroś wizyjnym, a jako taki „czyni malarza zbytecznym — wizja bowiem malarska jako coś zupełnie odrębnego przeszkadza tak widzowi, jak i aktorowi", odrzuciła część dawnych dekoracyj, robionych ongiś dla „Legjonu" w Wiedniu, a kopiujących wiernie oznaczone przez Wyspiańskiego miejsca, w których rozgrywają się sceny i wprowadziła inscenizację w kotarach. Nie tu miejsce na wdawanie się w dyskusję, czy p. Wysocka nie stanęła tem w sprzeczności z zamiarami artystycznymi i ze wskazaniami poety, dyskusję, której sporo miejsca poświęciła prasa krakowska — stwierdzić tylko należy, że eksperyment był w każdym razie interesujący choćby tylko jako jeden z etapów na drodze wysiłków do dania Wyspiańskiemu najwyższego jego wyrazu.

W ogólnym jękliwym tonie gry poszli wykonawcy „Legjonu" za tradycją Solskiego, wkładając zresztą w wykonanie dzieła cały ogrom pracy i sumienności. Ciekawą niezwykle kreację dała p. Wysocka naturalistycznem pojęciem postaci Wolności; p. Socha jako Mickiewicz był przewyborny w masce.

Teatr miejski wierny zasadzie popierania twórczości rodzimej wystawił krotochwilę Jastrzębca Zalewskiego p. t.: „Redukcja"; trudno o rzecz aktualniejszą w dobie sanacji budżetu państwa przez redukowanie urzędników: Oboje państwo Jackiewiczowie pracują w urzędzie. Nagle jak bomba spada wieść o zredukowaniu młodej żony. Rada w radę, uciekają się do fortelu: pani Jackiewiczowa donosi „władzy", że wdrożyła kroki separacyjne przeciw swemu Rysiowi z powodu „złośliwego opuszczenia", jako separowana bowiem może uniknąć katastrofalnej redukcji. Zakochany małżonek wyprowadza się chwilowo z domu, do którego natychmiast w roli konkurenta wchodzi „naczelnik" młodej urzędniczki, oznajmiając jej o cofnięciu redukcji. Zalotom starszego pana kładzie kres powracający zazdrosny małżonek i wszystko kończy się doskonale, państwo Jackiewiczowie zaś porzucają macoszą służbę państwową, by szukać chleba na innem względniejszem polu.



Kaisera „Romans zeszytowy" w teatrze im. Słowackiego (pp. Kopczewska, Klońska-Sauerowa i p. Socha)

Rzecz pełna dowcipnych wycieczek przeciwko biurokracji, wyreżyserowana ze smakiem przez dyr. Trzcińskiego, grana była w świetnem wesołem tempie, w którem pierwsze skrzypce trzymał w roli Jackiewicza p. Krasnowiecki.

Ogromnie interesującą premierą było dalej w teatrze Słowackiego wystawienie „Romansu zeszytowego" Jerzego Kaisera, nader modnego dziś w Niemczech autora, który we fabule wzorowanej na senzacyjno-kryminalnych romansach zeszytowych przemyca z wielką bystrością obserwacji i z uśmiechem ironji cały szereg satyrycznych uwag na temat śmieszności i przesądów arystokratycznej rasy. W sztuce tej wszystkie role są popisowe; popisowo też odegrali je panie: Kosmowska jako dumna rasowa obywatelka, p. Kopczewska jako mezaliansowa żona arystokraty bez serca, zdolna w imię miłości macierzyńskiej do najwymyślniejszych podstę-



„Śmierć kochanków" Chiarellego (pp. Bruczowa, Kwiatkowki, Melina, Osuchowska, Sznage-Andruszewska, Połoński, Miedzińska i Stępowski)

pów, p. Klońska jako włóczęga, oraz pp. Knobelsdorff, Szymański, Jednowski i Socha.

Koncertowo grali również artyści teatru im. Słowackiego w dramacie przerobionym z powieści Dostojewskiego p. t. „Idjota". Naogół przeróbki sceniczne z utworów powieściowych rzadko się udają; ta ostatnia należy do wyjątków, nie zatraca bowiem nic z przewodniej głębokiej myśli rosyjskiego pisarza-filozofa, uwypuklając przytem całą świetną bogatą galerję typów „istinno-russkich" i ogólno ludzkich. Na czoło wykonawców wysunął się w tytułowej roli p. Białkowski, nie wychodząc ani na chwilę ze stylu ewangielicznego nadczłowieka, który dobrze czuje się tylko w otoczeniu dzieci, skazany zaś jest na bezustanne cierpienia i konflikty z dojrzałymi ludźmi nadającymi mu pogardliwe miano idjoty. Świetnym kontrastem p. Białkowskiego był w roli żywiołowego barbarzyńcy Rogożina p. Chmielewski. Role kobiece spoczywały w niezawodnych rękach pań Żmijewskiej, Klońskiej, Zalewskiej i Perzanowskiej.



„Gdy kurtyna zapadnie" St. Turskiego w teatrze „Bagatela" (pp. Barwiński, Zofja Barwińska, Szyndler i Zbucki)

W teatrze „Bagatela" stale utrzymują się na repertuarze Chiarellego: „Śmierć kochanków" i Stefana Turskiego „Gdy kurtyna zapadnie", barwne realistyczne sceny z życia aktorskiego, w których p. Turski odnosi zasłużony podwójny sukces: autorski i reżyserski. Zaszczyt jego reżyserji przyniosła też dalsza premiera „Bagateli" p. t.: „Ukochany", głośny w Paryżu „Le Bien aimé" Deval'a.

Sztuka ta porusza odwieczny temat walki o mężczyznę, rozgrywającej się między prostolinijną, dziecięco czystą i bez pamięci kochającą żoną a dawną kochanką z typu ambitnych, namiętnych grandes amoureuses. Temat jak świat stary, a zawsze aktualny, podany w formie utrzymującej ciekawość i uwagę widza i słuchacza. — O znajdującego się między młotem a kowadłem męża-kochanka p. Kwiatkowskiego pojedynkowały się panie Bruczowa i Wernicz. Pierwsza z właściwą sobie maestrją umiała wydobyć z roli porzuconej kochanki nie okrzyki histerycznej mściwości, lecz akcenty tragicznego bólu i prawdy; druga w rolę zdradzonej żony włożyła tyle bezpośredniości i szczerości, iż płacząc i cierpiąc nie grała, lecz przeżywała na scenie — a to jest chyba najwyższym wyrazem sztuki scenicznej. Nawiasem mówiąc, sztuka ta przynosi tendencyjną porażkę zawodowi kochanek, wieńcząc niepodzielnym laurem zwycięstwo legalne żony. (Och! jak miło, że dzieje się tak czasem chociaż... na scenie!...)

Rekord śmiechu osiągnęła farsa amerykańska „Pragnę potomka". Rety! Co się w niej dzieje! Ludzie wykradają sobie dzieci, podrzucają, odbierają, ciskając trojgiem niemowląt w powijakach jak piłkami po scenie. Tempo wydobyte przez reżysera p. Dobrzańskiego iście amerykańskie; sytuacje przegłupie lecz prześmieszne; pierwszoplanowa czwórka grających artystów: oboje pp. Dobrzańscy, p. Stępowska i p. Wesołowski zgrani idealnie w swych karkołomnych wyścigach w słowie i w ruchu, wywołują niemi kaskady śmiechu na widowni.

ZOFJA LEWAKOWSKA

BERLIN

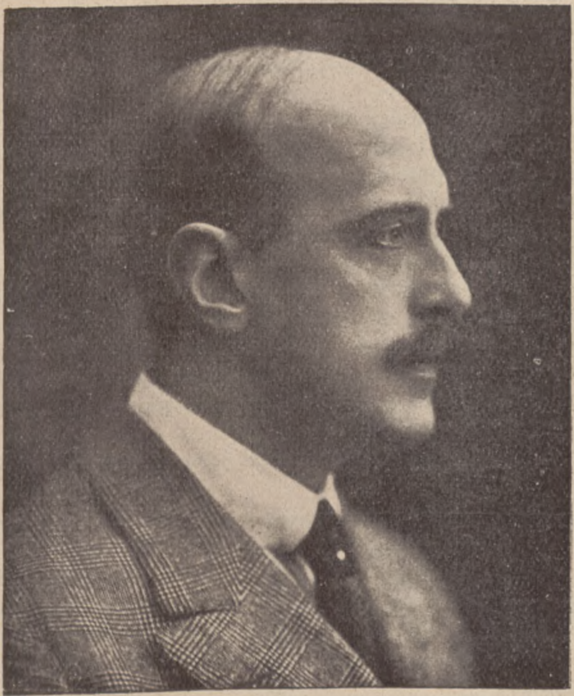
Grudzień 1924

Przedziwną piękność Mony Lizy przekazał potomności Leonardo da Vinci, niezwykłe zaś dzieje życia tej w tajemniczy uśmiech spowitej kobiety odsłania obecnej generacji opera Schillingsa. Opera ta, aczkolwiek młoda wiekiem, stała się żelaznym kapitałem repertuaru scen niemieckich, onegdaj wystawiono ją z nadzwyczajnem powodzeniem w Sztokholmie, w sezonie zimowym zaś, jak mnie słuchy dochodzą, ma wejść na scenę polską. Muzyka Schillingsa, barwna i bujna, ciekawą harmonizacją oddająca karnawał florencki, w przedziwnie pięknym motywie kreśli tajemniczość uśmiechu Mony Lizy. Motyw ten przewijający się przez operę do rozkwitu dochodzi w scenie miłosnej między Monną Lizą a Giovannim, jej ukochanym, łącząc się tutaj z młodzieńczym zwycięskim motywem owego Giovanniego właśnie.

Szczyt wrażenia osiąga jednak opera w drugim akcie, gdy w orkiestrze, ilustrującej dramat okrutny, łamiący życie Fiordalizy, zrywa się krzyk poprostu i przez długą, długą chwilę warczą bębny. Libretto, ułożone przez Beatryczę Dorsky, jest jednym z tych rzadko dobrych i doskonale zbudowanych tekstów operowych, które naogół, jak wiadomo, nie grzeszą zbytnią logiką ani wspaniałością treści, a już najmniej literacką formą. „Mona Liza" pani Dovsky jest ulubioną w Niemczech, t. z. „Kahmenerzählung", przypominającą także w budowie i pomyśle Schnitzlerowską jednoaktówkę: „Dama ze sztyletem". Obcy pan i jego żona zwiedzają w Florencji ów pałac, w którym w czasie nocy karnawałowej w 1492 r. rozegrał się ów dramat Fiordalizy, którą jako Monę Lizę uwiecznił Leonardo da Vinci. W sali, zwanej salą westchnień, będącej widownią owych zajść, braciszek oprowadzający małżeństwo, poczyna opowiadać dzieje, przekazane przez kroniki. Obca pani słucha rozrzewniona. Przykuta do boku starszego mężczyzny, któremu chłodne kalkulacje zrozumialsze są, niż porywy sercowe, w losie Mony Lizy dostrzega swoje własne przejścia życiowe. W czasie opowiadania ściemnia się na scenie, z czasów obecnych cofamy się do przeszłości, w rok 1492. Obca pani jest Moną Lizą, jej mężem jest Francesco del Giocondo, młody



ZINAIDA JURJEWSKAJA



MAX SCHILLINGS twórca „Mony Lizy“



BARBARA KEMP (Mona Liza)

mnich zaś to dawny ukochany Mony Lizy, Giovani de Salviati. Za oknami pałacu okrzyki karnawałowe i pieśni nabożne mnichów Savonaroli. Śród tej wesołości tylko Francesco nie jest wesoły. Drażni go uśmiech Mony Lizy, jej chłód i radby wiedzieć, co się za tą maską kryje. Wtem zjawia się Giovanni jako wysłannik papieża, po perłę ze skarbca Francesca. Skarbiec spoczywa w kunsztownej szafie o podwójnych, ciężkich drzwiach, które otwiera złoty kluczyk. Kluczyk ten nosi Francesco na szyji. W tę straszną pułapkę dostaje się Giovanni, kochanek z czasów młodości, zanim zmuszono Monę Lizę, by została żoną bogatego panka. Scenę miłosną podpatrzył w tej chwili mąż i mści się zatrzaskując drzwi do skarbca. Napróżno błaga go Mona Liza, aby drzwi otworzył, bo tam ginie człowiek, napróżno oddaje mu się, żądając w nagrodę uwolnienia Giovanniego. Francesco nagrodę bierze brutalnie, kluczyk jednak rzuca w fale Arna. Bezprzytomna pada Mona Liza na ziemię. Przesypia noc, choć trudno pojąć, jak mogła spać — niedaleko trupa. Kluczyk znajduje nazajutrz o świcie w łodzi swej pasierbica Mony Lizy i oddaje go jej. Nieszczęsna wie, że tam, w tym skarbcu już tylko trup znajdować się może. W tej chwili nadchodzi Francesco del Giocondo. Mona Liza ma na ustach ów zagadkowy uśmiech i pokazując mu kluczyk, domaga się, by perły wyjął ze skarbca. Francesco zdumiony, sądzi, że kochanek umknął zapewne z pułapki. Otwiera drzwi i wówczas Mona Liza zatrzaskuje je szybko a triumfalnie. Skończył swą opowieść młody mnich. Obca pani wzruszona daje na mszę za spokój duszy biednej Mony Lizy, choć mąż jej tego nie pochwala. Odchodzą oboje i tylko do stóp młodego mnicha pada bukiet irysów, który obca pani poprzednio trzymała w ręku. Z okrzykiem: Mona Lizo! — przyciska kwiaty do ust. Kompozytor (jednocześnie intendant opery rządowej) sam dyryguje dzieło. W roli Mony Lizy, jakgdyby ożywiony ów portret pędzla słynnego malarza, Barbara Kemp, świetna głosowo i aktorsko, Michał Bohnen, o rozgłośnej już dziś sławie dosięgającej Szaliapina, jako Francesco, Horner w roli biskupa Pietra Tumoni, tworzyli tercet godny pierwszej sceny w państwie.

— — — — — — — — — — — — — —

W czasie Olimpiady śpiewała Jurjewskaja w Paryżu i tam jeden z recenzentów nazwał ją *le rossignol russe*. Wedle opinji zaś znanego kompozytora Glazunowa tworzy z wiolinistką Cecylją Hausen i Mikołajem Orloffem świetną trójcę rosyjską, zajmującą pierwszorzędne stanowisko w dziedzinie sztuki. Zaangażowana do Berlina olśniła tutejszą publiczność blaskiem, pięknością swego głosu jako Tatjana, jako Mimi. Najbliższe jej role będą: Butterfly i Małgorzata. Jest to prześliczny sopran o dziwnej słodyczy, o ciepłem niesłychanie brzmieniu. A jak szkolony świetnie jest ten głos! Jakie piana ma cudowne, jak niedostrzeżenie przepływa z jednego rejestru w drugi! W grze tej uroczej artystki jest szczerość porywająca i śliczna prostota. Dawno już nie widziałam tak dobrej Mimi, tak wzruszającej. Jurjewskaja bierze jednocześnie udział w koncertach symfonicznych, w których dyrygentami są Furtwängler i Kleiber. Programy obejmują drugą i czwartą symfonję Mahlera, pieśni Straussa, Beethovena, Haydna Cztery pory roku. Z wiosną jedzie słynna już dziś śpiewaczka do Paryża, a następnie na dziesięć koncertów do Hiszpanji. Przedtem jednak usłyszy ją Polska — dokąd Jurjewskaja w zimie zamierza wyjechać.



MATTIA BATTISTINI

Z sali koncertowej. Mattia Battistini, słynny baryton, śpiewał w przepełnionej sali Filharmonji berlińskiej. Wielki artyzm, wspaniała kultura głosowa, interpretacja pierwszorzędna — oto jej cechy. Arję „Pajaców“ musiał powtórzyć, a nad program dodał — cały nowy program.

M. SZWARCÓWNA

ŚMIERĆ ANATOLA FRANCE'A

Jakby umierał ktoś mi bardzo bliski... Stary dziadek, od którego nic już spodziewać się nie można, ale który dał mi tyle!

Codzień rano biegłam kupować gazetę. Wynalazłam pismo, które się nim najwięcej zajmowało, brukowe pismo, które i w śmierci szuka sensacji.

Przez dziesięć dni mówiło mi ono, że Anatol France kona. Już wiadomo, nieodwołalnie, że śmierć go weźmie, tylko jeszcze chodzi o to, jak długo temu wezwaniu opierać się zdoła.

Nie boi się śmierci. Przecież umrzeć to najbardziej prosta i naturalna rzecz. Wiedział o tem zawsze. Nie ma nadziei żadnych, nie ma też żalu ani pretensji do nikogo. Nie wzywa, jak Balzac do łoża swego, ku pomocy stworzonych przez siebie w powieściach lekarzy w nadziei, że oni go zbawią.

Ale mówić o śmierci i myśleć o niej nie trzeba, jak się nie myślało i nie mówiło przez całe życie. A przedewszystkiem nie zastanawiać się, co po niej nastąpi — ani tu na ziemi, ani tam — nigdzie. Żadnych obaw, żadnych rozporządzeń.

Kiedyś w dniach złych, wobec zgonu ukochanej córki, miał chwilę wahania: „Boję się tej otchłani“, ale gdy sam umiera, wie dobrze, że nic go nie czeka.

Zabiera się do śmierci jak do każdej chwili życia, spokojnie, z dobrotliwem pobłażaniem, niby do rzeczy nieuniknionej. Już dawno o niej myślał, porównywał swój wiek z wiekiem swej matki i mówił, że na niego też czas.

W ostatniej chorobie, gdy go pocieszano, odpowiadał: „Nie, teraz już umrę“. Ale śmierć zbyt wolno się zbliżała: „Jak się długo umiera“. Przeszło znów parę dni: „Może dziś nakoniec umrę“.



ANATOL FRANCE

Leży w swej wielkiej, na ogród wychodzącej komnacie, do niedawna pełnej dzieł sztuki, dziś pustej, nieomal szpitalnej. A nad nią, na górze, drzemią książki w jego pracowni, papiery, rozłożone jego ręką, na ogromnym stole, pokryte jego pismem, do ostatnich dni — pewnem, śmiałem. Drzemie tu jakiś nowy Hamilcar *„prince somnolent de la cité des livres“*. Umiera z każdym dniem i każdą godziną, jak z każdym dniem i każdą godziną umiera cała przyroda. Wszystko jak on, pewne jest śmierci i czuje bezużyteczność z nią walki. Wiąz, pod którym lubił siadywać, stoi na dywanie zwiędłych liści, cztery Erosy już się nie uśmiechają, a nimfa trzyma straż przy niebijącej fontannie. Czerwone pęki winogradu tworzą krwawą ramę jego okien.

Nie urzeczywistni już żadnego ze swych planów upiększenia Béchellerie. Kochał swój wielki, stary dom, przerobiony z murów klasztornych, prosty w liniach, z ładnemi, mansardowemi oknami... Jedną z ostatnich jego radości, to był projekt nowego parku, w stylu francuskim: przez łagodne wzgórza wić się miała droga białych posągów, prowadząca do świątyni Amora...

Nie spojrzy na wolno płynące fale Loary, których piękno i harmonję umiał oddać rytmiką swego słowa. Nie spojrzy okiem czułem na wody błękitne, wysepki białego piasku, brzegi w obramieniu wysokich drzew.

Często, do ostatnich dni zdrowia, jeździł do Tours, które kochał jak Francuz i jak artysta. Stary ratusz, koronka wież katedralnych... A potem szedł do księgarni pana Tridon, żeby oglądnąć nowe książki, dowiedzieć się, co ma wyjść; odetchnąć zapachem świeżej farby drukarskiej.

Albo do antykwarjusza Riehla, starego przyjąciela. Przywoził mu swe manuskrypty, śmiejąc się i żartując, że kiedyś jakiś inny Anatol France będzie je ciekawie badał. Zasiadał w głębokim fotelu, i, jak to czynili jego bohaterzy, Silvestre Bonnard, czy pan Bergeret („W cieniu wiązów“ i „Zbrodnia S. Bonnarda“), bawił się biblocikami, znajdował dla każdego zapał, anegdotkę, pochwałę.

Przy łożu umierającego siedzi jego żona, po ogrodzie biega zrozpaczony wnuk Anatola France'a i wnuk Renana, młodziutki Lucjan Psichari. Lekarze nic poradzić nie mogą, przychodzą tylko, by sprawdzić puls i temperaturę, podtrzymać uciekające siły wodą z szampanem. W dalszych pokojach dziennikarze, gdzieś, niedaleko, czatują operatorzy kinowi. Ciągłe pytania o wiadomości, odwiedzający, których się już nie przyjmuje. I stosy listów: żalów — kondolencyj i rad.

Dobry *père France* śmiałby się z nich pobłażliwie: cieszyłby się z dowodów ludzkiej miłości i znalazłby wytłumaczenie dla naiwności i ślepej wiary, która zawsze się zjawi wobec prawdziwego uczucia i prawdziwego nieszczęścia.

Długie dni trwała agonja, odchodził powoli, zapadając w sen, coraz dłuższy, coraz dłuższy, jakby powoli, powoli przechodził w śmierć. Czasem, gdy otwierał oczy, obejmował świat niby go żegnając. A potem spojrzenie jego już jakby nic nie widziało, nic z rzeczy zewnętrznych. Nie poznawał nikogo. Może, w tych ostatnich chwilach, w skrócie, przeżywa się całe życie? Wszystko staje wyraźne, jasne, prawdziwe. Porównywać można swe dawno zapomniane uczucia i wybrać z nich — najdroższe, czy najsilniejsze, żeby pamięć o niem, nie zabrać ze sobą, bo nic się nie zabiera, ale żeby mieć je przy sobie niby tarczę, osłonę, w tej chwili najstraszniejszej.

Jak dziecko, jak mały Piotruś, gdy był chory i smutny, stary, w tej chwili nieomal hieratyczny, Anatol France zawołał: *Maman*. I powtarzał to imię, długo bez przerwy, cicho się niem pieszcząc. Ostatnia jego świadoma, a może nieświadoma myśl była przy tej kobiecie. Choć tyle miłych mu imion teraz sobie krytyka przypomina... A potem zasnął na sen już bardzo blisko ze śmiercią graniczący, przejście — jeden krok. Bez słowa, ruchu, protestu — był na tamtej stronie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jesienna mgła, chłodny ranek, drzewa pożółkłe. Melancholijni *cavaliers*, roześmiane amazonki i podstarzali don Żuani — jakeśmy to czytali w dawnych powieściach. Z jednej strony Łuk Triumfalny „*comme un dé de pierre*". Z drugiej perspektywę zamyka lasek buloński. „Pamiętam ciebie mały Piotrusiu, jak z tornistrem biegłeś przez lasek buloński"...

Boczna uliczka — willa Said. Odrazu przyszłam z pierwszą i ostatnią wizytą. A jakbym tu nie raz była. Jeśli czego nie znam z opisu, to tak to sobie wyobrażałam. Tylko bez tej trumny. Nie, właściwie trumny żadnej niema. W pokoju wybitym czarnym suknem, ozdobionym frendzlami srebrnemi, haftowanym, leży — stos kwiatów, a na samym szczycie olbrzymi bukiet fjołków. Takich parmeńskich, jakie kiedyś na wigilję dostał Sylvestre Bonnard.

Gdzieś przed lustrem marmurowy biust Anatola France'a, przegląda się w zwierciedle, niby człowiek żywy. Elegancki światowiec, lubił się pewno kontrolować, idąc wieczorem na wizytę. Jakąś, w ostatniej chwili, przypadkiem wybraną, z wielu obiecanych...

Najpierw widział swą twarz pełną subtelnej finezji, łagodnie złośliwą, oczy z igiełkami ironji pod aksamitnem spojrzeniem, potem stawała się ona jakby coraz bardziej spokojna i pobłażliwa, by stać się w końcu, z tą wielką białą brodą twarzą nieomal patrjarchy, niby nowego Wiktora Hugo.

W głębi stołowy pokój — ściany zawieszone talerzami, mosiężne naczynia stoją na półkach — coś renesansowego jest w tej komnacie, której wielkie okna otwarte na zawsze zieloną ścianę bluszczu.

W przedpokoju, w gablotce pełno tanagryjskich figurynek. Słońce padło na nie, zaróżowiło je i bawi się niemi, jakby niczem mu był majestat śmierci. Uśmiecham się do tej igraszki. Wcale mnie nie razi. W tej ukradkowej wędrówce mam tajemnego przewodnika, który mi naszeptuje zapomniane rzeczy — samego France'a. I dlatego wszystko tu rozumiem i niczemu się nie dziwię. Wiem przecież, coby on powiedział o porcelanie, co o starych figurynkach i zawsze młodem słońcu. Co o tych sztychach, które tak zgodnie, z różnych szkół i różnych epok, wiszą na ścianach, o tej wazie greckiej, po czarnem tle której skaczą czerwone figury.

Tu wszystko łączy się zgodnie, harmonijnie, wszystko znalazło swe miesce — jak w gościnnej duszy France'a. I dlatego wszystko jest, jak było.

A prawda, jedna rzecz się zmieniła. Obok tacy z biletami leżą wielkie białe arkusze w czarną obwódkę oprawione, na których „wizytujący" zapisują swe nazwisko. Jest godzina jedenasta — dopiero od dziewiątej zaczęły się „przyjęcia". A jednak leżą już stosy tych kart.

Na razie literaci, artyści i — cudzoziemcy. Za parę godzin będą oficjalne osoby, deputacje, przedstawiciele rządu. A jutro pogrzeb. Zaniosą go tam, skąd przyszedł, na *quai Malaquais*, samo serce Paryża.

— — — — — — — — — — — — —

Dzień był łagodnie szary, taki, o którym France mówił, że najlepiej wydobywa wdzięk każdej rzeczy. W tem wcześnie zapadającem świetle palą się fioletową gazą owinięte latarnie — grecka żałoba. Ironiczny uśmiech Woltera skryto też pod zasłoną. Wysoko stoi trumna — w czterech wielkich urnach płoną kadzidła i owijają ją całą.

Nikt się z wolą zmarłych nie liczy. Pogrzeb jest wspaniały, mowy muszą być liczne. A obok tego osobiste porachunki, niechęci, polityka...

Sunie olbrzymi pochód przez miasto. Przegląd ostatni już nie widziany. Katedra — „cienka jak igła, ciężka jak słoń". Luwr, olbrzymia cyzelatorska zabawka; Sekwana „rzeka chwały", Cour-la-Reine, Plac Zgody, Łuk Triumfalny...

„Widzę stary, szacowny Paryż z jego basztami i wieżycami; to wszystko jest mojem życiem, bo ja sam niczem nie byłbym bez tych rzeczy, które odbijają się w tysiącach odcieni mych myśli, ożywiają mnie i dają natchnienie. Dla tego wielką miłością kocham Paryż".

Perłowy mrok zapada coraz głębszy. Oficjalne osoby mogą się usunąć, publiczność łamie kordony, spłoszona cisza cmentarza w Neuilly, ostatnie pożegnanie. — Już leży pod „białym głazem".

Aurelja Wyleżyńska

„NA CZYSTEM, MROŹNEM POWIETRZU..."

Humor i zdrowie zawsze idą w parze

Pewien słynny higjenista powiedział raz: ślizgawka, to kuracja ruchowa z dołączoną premją przyjemności. Rzeczywiście ślizgawka jest wybornym środkiem przeciw błednicy, anemji, migrenie, nerwowości i podobnym, brzydkim i nieznośnym, choć tak częstym niestety, towarzyszom dzieci i młodzieży, a także i dorosłych. Żywy ruch na wybornem, rzeźkiem, zimowem powietrzu — zwłaszcza w czas słoneczny — jest najlepszym lekarstwem przeciw wszelkim dolegliwościom tego rodzaju. Zarówno górna jak i dolna część ciała ludzkiego pozostaje przy ślizganiu się w ciągłym ruchu, dla utrzymania równowagi czynną jest równomiernie cała muskulatura, krążenie krwi zostaje znakomicie pobudzone, organizm wydala wszelkie szkodliwe substancje i zdaje się wypacać ze siebie wszelkie zmęczenie...

Na lodzie czuje się każdy rzeźki, wesoły i pełen życia. Pulsa biją raźno, serce ożywia się. Płuca wdychają pełnemi haustami świeże, zimowe powietrze oczyszczone przez mróz z wszelkich bakcyli.

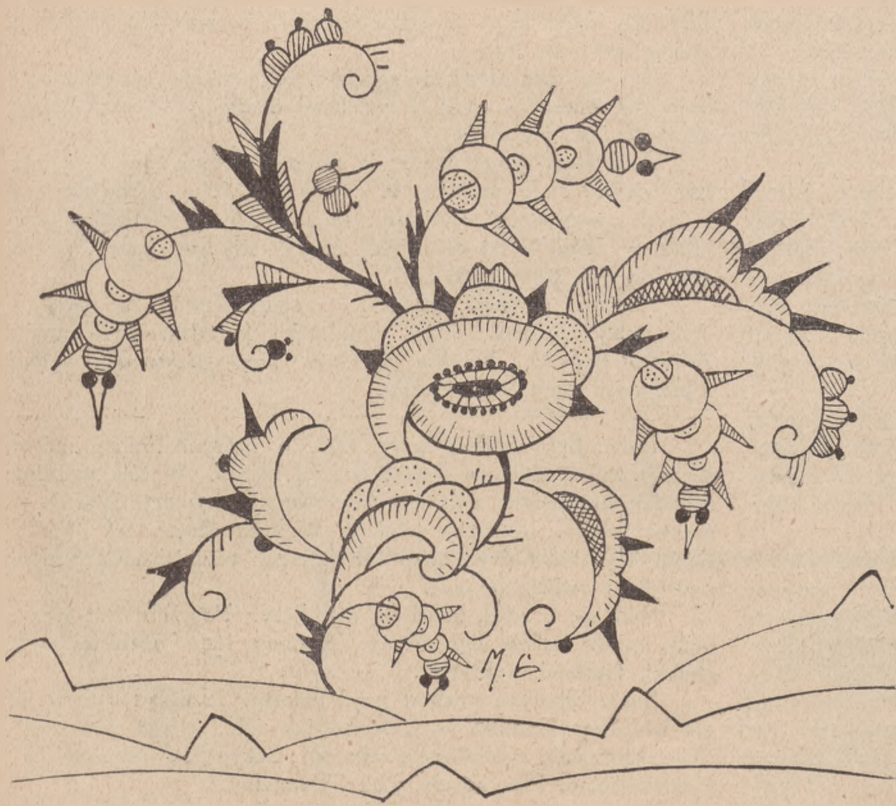
Gdzie nie ma ślizgawki, tam najczęściej znajdują się tereny, odpowiednie dla nart. Oba te sporty w równej mierze posiadają niezwykłe zalety i dość zalecane być nie mogą. Mogą zaś być uprawiane od 5-go roku życia.

Nie można nadziwić się rodzicom, którzy wymagają od swych dzieci około 8—10 godzin dziennie pracy (a zatem więcej, jak od siebie): a więc lekcyj, domowej nauki, ćwiczenia na fortepianie, jednem słowem wytężającej pracy w dusznem powietrzu, a zapominając o potrzebach młodego organizmu, wychowują wątłych, niezdolnych do pełnego i radosnego życia „inteligentów". Z nauk szkolnych conajmniej połowa idzie w późniejszym życiu w zapomnienie — a nabyte za młodu zdrowie i siły fizyczne służą przez całe życie, tem cenniejsze, im starsi się stajemy.

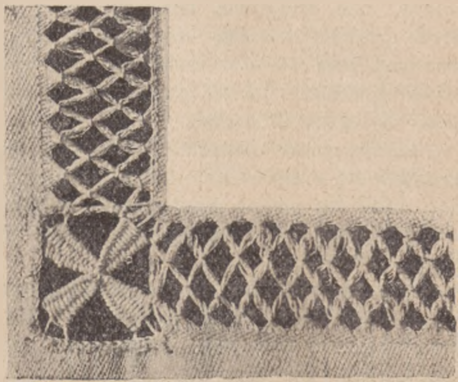
Na szczęście prąd kultury fizycznej z zachodu Europy wdarł się do nas zwycięsko i coraz mniej domów, gdzieby nie rozumiano bezwzględnej konieczności dalekich spacerów, sportów, przewietrzania sypialń (!) i hartowania.

Wszystko to przystępne jest dla każdego bez różnic zamożności — a wymaga tylko rozumnego, konsekwentnego postępowania. Od rodziców zatem tylko zależy, by zniknął u nas typ anemicznego podlotka i bladego, niezdarnego wyrostka. Typy te są okazami ludzkości wczorajszej — ludzkość dzisiejsza dąży z całych sił do dzielności fizycznej i swobodnego a równomiernego rozwoju władz umysłu i ciała — ludzkość jutrzejsza stworzy na nowo typ greckiego efeba i greckiej Diany. *W. T.*

ROBOTY



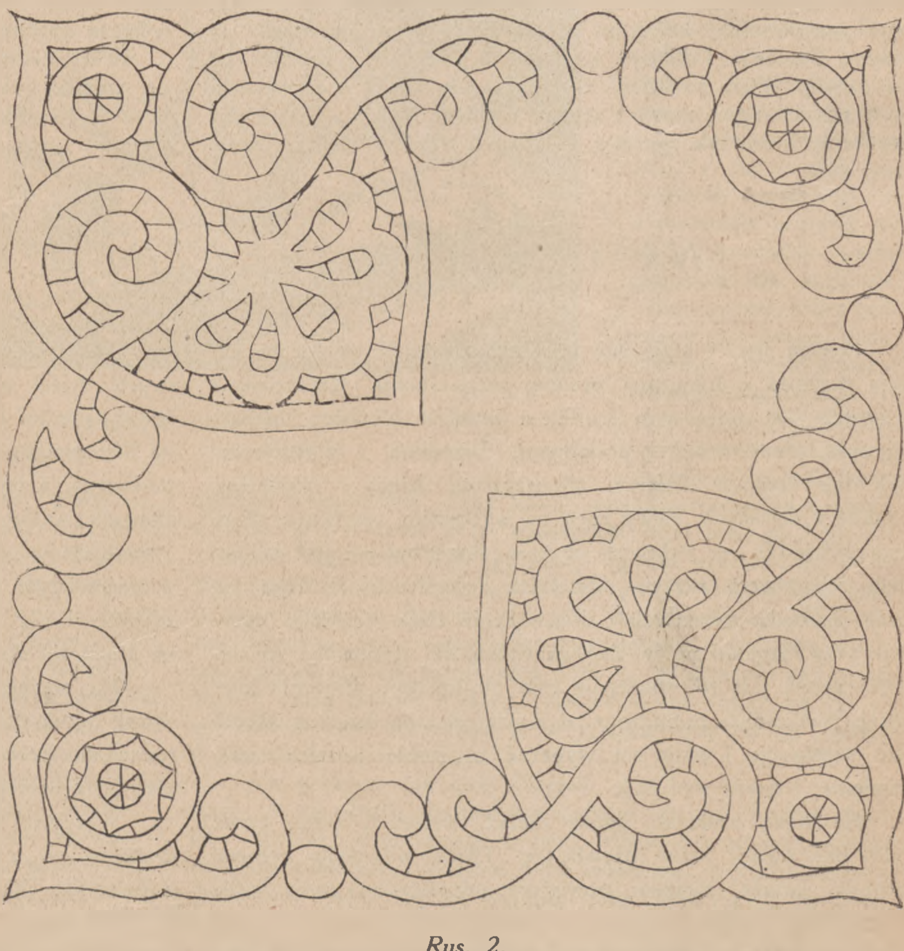
Rys. 1.



Mereżka. *Szczegół do wzoru rys. 12 z nru 13-go (milieu)*

Rys. 1. ***Oryginalna poduszka*** *wykonana w hafcie płaskim. Barwy: bronzowy, ciemnozielony, granatowy, wiśniowy, nieco złotej nici. Patrz dołączona tablica wzorów do prasowania.*

Rys. 2. ***Serwetka*** *wykonana w technice Richelieu, wielkość 30 cm^2. (Pracownia Związku Pracy Polskich Kobiet w Krakowie).*



Rys. 2.

Do tego numeru dołączamy arkusz wzorów do prasowania, zawierający roboty rys. 1 i rys. 4

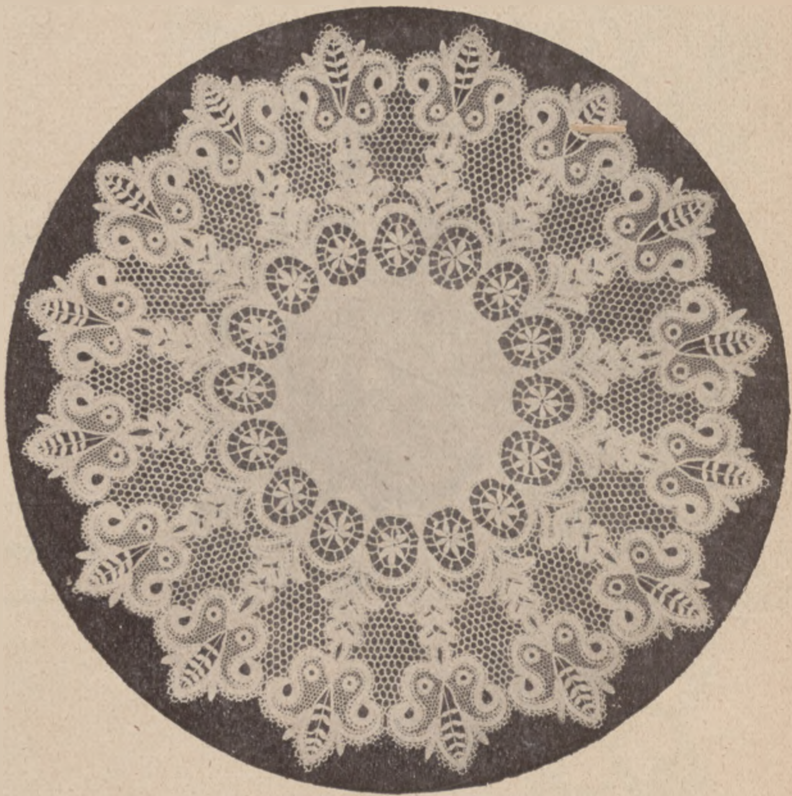
RĘCZNE

Rys. 3. ***Koronka klockowa,*** *projekt prof. K. Kłosowskiego, wykonana w Państwowej Szkole Koronkarstwa w Zakopanem.*

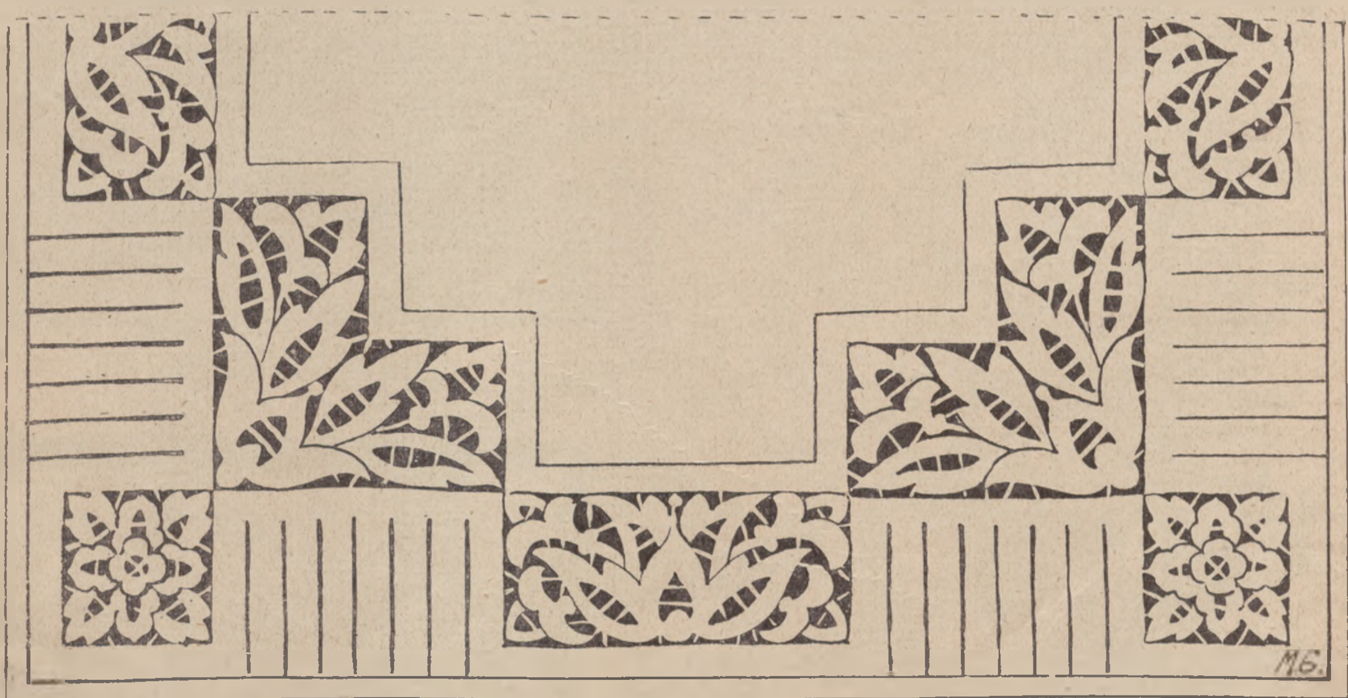
Rys. 4. ***Milieu*** *(połowa) rozmiar około 80 cm. Haft Richelieu wykonany białą lśniącą bawełną na cienkiej webie. Proste linje tworzy mereżka, również obrąb. Gotową robotę można jeszcze ozdobić koronką klockowaną lub siatkową, przydziergując ją brzegiem. Pojedyncze motywa można użyć również do ozdoby firanek, pościeli i t. d. (Przed zaczęciem haftu należy najpierw wyciągnąć mereżki!)*

(Patrz dołączona tablica wzorów do prasowania!)

Opis do wzoru na ostatniej stronie okładki: Makata, *rozmiar około 110/60 cm. Haft płaski na ciężkim jedwabiu. Po przeniesieniu wzoru na materjał wszywa się w krosna odpowiedni kawał mocnego, białego batystu, na który się równo i gęsto nafastrygowuje jedwab czarny. Barwy podane na wzorze można nieco ożywić, wybierając w miejsce szarych liści, zielone. Kwiaty są również bardzo efektowne w odcieniach amarantowych. Wzór ten powiększony nadaje się też na ścienny kilim, zwykłą kilimową lub gobelinową techniką tkany.*



Rys. 3.



Rys. 4.

OPIS BARWNYCH MODELI PARYSKICH DO Nr 15 „ŚWIATA KOBIECEGO":

6325. Czarująca toaleta wieczorowa ze złotej materji — kształt futerału bez rękawów, z boku udrapowana w ząb, ozdobiona haftem perełk.

6526. Płaszcz wieczorowy z popielatego *velour-chiffon* z szerokim obkładem z popielatego lisa i z haftem z barwnej włóczki.

ROBOTY

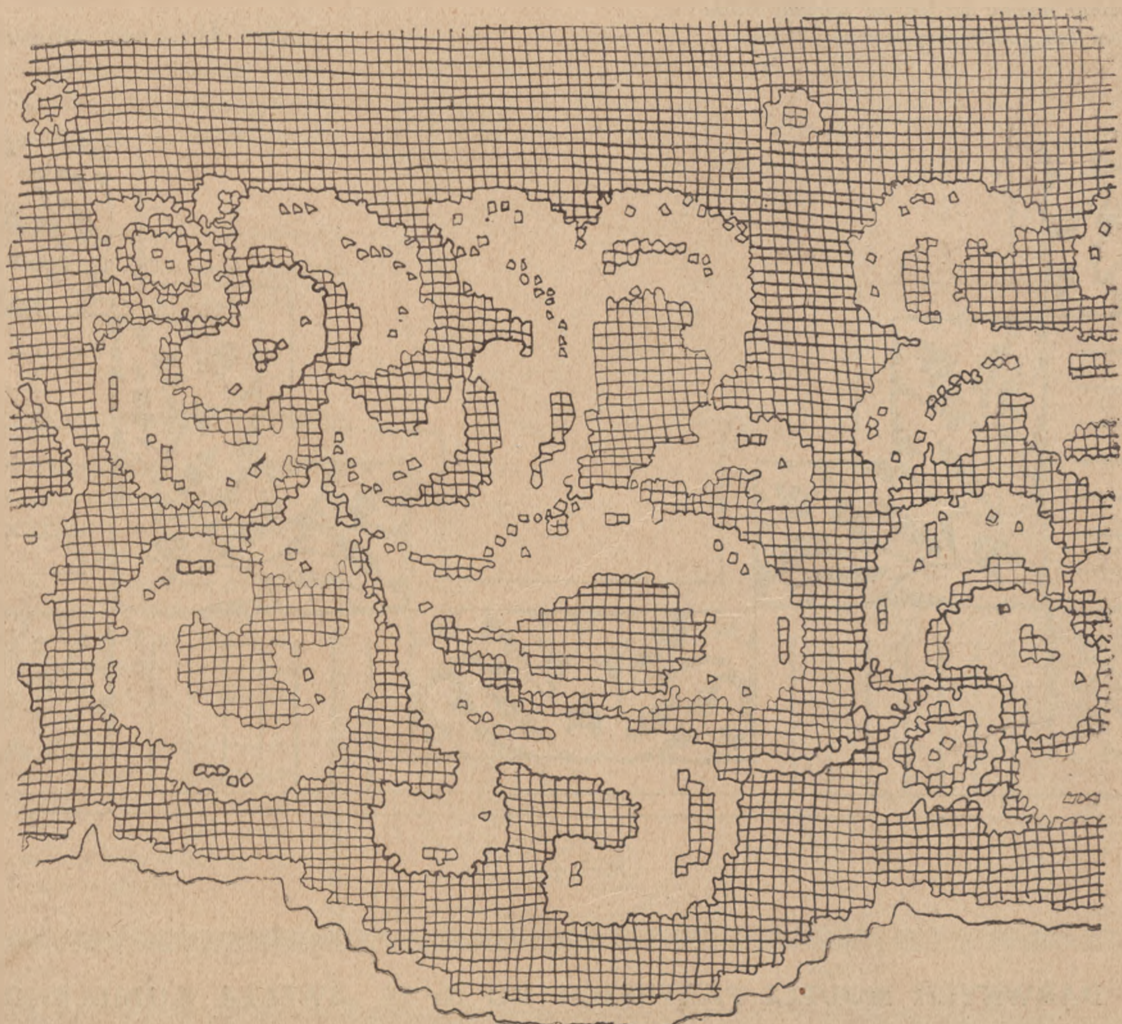


Rys. 5.

Rys. 5. ***Poduszka*** *lub* ***makatka,*** *haft płaski na białem suknie Barwy: zielony, granatowy, amarantowy, niebieski i czarny.*

Rys. 6. ***Koronka*** *filet stosowna do bogatej story (projekt p. Skotnickiej z Warszawy).*

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja



Rys. 6.

RĘCZNE

Rys. 7. ***Motyw barwny*** *w kilku kolorach bronzowych i kilku zielonych, ozdobiony starozłotą nitką.*
Rys. 8. ***Serwetka,*** *wymiar 40/25 cm. Haft Richelieu lśniącą bawełną na płótnie. Projekt W. Hładuńskiego.*
Rys. 9. ***Ornament*** *w rodzaju starożytnych haftów krakowskich. Haft jedwabiem, atłaskiem w pięknych sharmonizowanych barwach, staro-różowej, staro-niebieskiej dla kwiatów z rezedowej zielonej dla liści i czerwonej dla jagód. Charakterystyczne i bardzo dekoratywne jest wykonanie dużych liści, w których większa część jest w prążki założona i obwiedziona złotą nitką, którą również wykonane są tu i ówdzie wijące się rzęsy. Wzór daje się zastosować do różnych technik stosowanych też dla celów kościelnych.*



Rys. 7.



Rys. 8.



Rys. 9.

CESARZOWA EUGENJA

Do rzędu tragicznych monarchiń, męczenniczek na tronie, które los nagle wyniósł na szczyty potęg ziemskich a później strącił w gehennę cierpień, łez i bolów i skazał na mękę tęsknoty i opuszczenia, należy i była cesarzowa Francuzów Eugenja.

Eugenja Montijo de Teba, z macierzystej strony wnuczka kupca korzennego i właściciela winiarni Kirpatricka, potomka szlacheckiego rodu, który po upadku Stuartów uchodząc z kraju osiadł w Maladze. Matka jej, piękna i dumna Manuela, wyszła za starszego, ograniczonego, jednookiego, ale bardzo zamożnego hrabiego Montijo de Teba. — Pożycie małżeńskie tego stadła nie było wcale przykładnem, bo urocza, młodziutka hrabina bawiła się i kokietowała na wszystkie strony, a mąż dręczył ją swą zazdrością i popędliwością. Dwie ich córki — Teresa i o dwa lata od niej młodsza Marja Eugenja — urodzona w Grenadzie w Andaluzji 5 maja 1826 r. — wychowywały się w Paryżu w Sacré-Coeur a następnie w pensjonacie w Londynie.



Rozstawszy się z mężem, zabrała hrabina do siebie obie swe córki i prowadziła odtąd koczowniczy żywot — przebywając bądź to w stolicach Francji, Anglji i Belgji, — bądź też w głośnych miejscach kąpielowych. Po śmierci małżonka wróciła wraz z córkami — których piękność niezwykła wszędzie podziw wzbudzała — do Madrytu. W starszej Teresie, zakochał się książę Alba i ożenił się z nią — a młodsza, szesnastoletnia Eugenja, która się w nim kochała, zrozpaczona, że siostra jest tą wybraną a nie ona, usiłowała się nawet otruć. Uratowano ją — ale od tego czasu zmieniła się do niepoznania. Przedtem cicha, skromna, stała się odtąd próżną, wyzywająco zalotną, w głowie jej były tylko płoche rozrywki; oddawała się nadto sportowi i doprowadziła do mistrzowstwa w pływaniu, szermierce i jeździe konnej — była też namiętną amatorką walki byków. Atoli jako prawdziwa Hiszpanka była równocześnie nadzwyczaj pobożna i codziennie spędzała parę godzin w kościele. Znudzona wreszcie i przesycona życiem, które prowadziła, chciała nawet wstąpić do klasztoru, ale gdy stanęła na poświęconym progu, zjawiła się przed nią stara, na wpół obłąkana zakonnica i przypatrując jej się bacznie wyrzekła w końcu: „Córko! Nie szukaj schronienia poza temi murami! Jesteś powołaną, byś była władczynią!“ Były to prorocze słowa!

Czarem swej urody, wdziękiem postaci, które podnosiły artystyczne, oryginalne stroje — i ujmującem obejściem zdobywała Eugenja z wielką łatwością serca męskie; najpierwsi panowie, hrabiowie, książęta, potomkowie panujących domów leżeli u jej stóp. Między gorącymi wielbicielami uroczej Hiszpanki znajdował się i Ludwik Napoleon Bonaparte, będący wówczas biednym, zadłużonym księciem o niepewnej przyszłości, żyjącym mimo to bardzo wesoło. Eugenja wierzyła w jego gwiazdę, — pokochała go nawet, ale zbyt rozsądną była, aby już teraz wiązać z nim swe losy. Śledziła jednak pilnie każdy jego krok, wiedziała o wszystkiem, co jego dotyczy i krótko przed zamachem stanu zjawiła się w Paryżu.

Ponieważ starania Napoleona o zawarcie małżeństwa z którąkolwiek księżniczką z panujących domów spełzły na niczem — oznajmił cesarz w końcu na radzie ministrów, że poślubia hrabiankę Montijo de Teba, którą kocha i poważa. Wśród huku wystrzałów armatnich, wśród odgłosów wszystkich dzwonów stolicy, przy dźwiękach organów, z niebywałym przepychem, odbył się w prastarej katedrze paryskiej — 30 czerwca 1853 r. — ślub. W owej chwili stanęła Eugenja u szczytu swych najśmielszych marzeń — ale nie duma, lecz uczucie pokory — jakieś przeczucia bolesne ją przenikały.

Młoda cesarzowa posiadała dwie iście monarsze cnoty: wielkoduszność i szczodrobliwość. Była dumną i ambitną, a na pozór skromną; odważną lecz i roztropną. Urodę i rozsądek odziedziczyła po matce — a po ojcu odwagę, którą objawiła jeżdżąc na nieosiodłanych koniach, odwiedzając podczas epidemji szpitale i w męskiej iście wytrwałości na obranem stanowisku podczas wojny. Drugim, dodatnim rysem jej charakteru była wielka dobroczynność i pobożność. Założyła i chojnie uposażyła wiele domów dla sierót, starców, przytułków dla nieuleczalnych, dla chorych kobiet i dzieci, dla niezdolnych do pracy robotników — dawała wielkie zapomogi klasztorom, szpitalom, nadto wdowom i sierotom po wojskowych i t. d.

Była ona — co nawet jej antagoniści zgodnie stwierdzają — olśniewająco piękną. Cudownie rosła, nadzwyczaj kształtnie zbudowana, o ruchach gibkich, wdzięcznych. Posiadała twarz o doskonałym owalu greckiej statui o regularnych, lecz wyrazistych

ŚWIAT KOBIECY
(REKORD)
Dodatek do nru 15 r. 1924





6525 6526

rysach — nos nieco wygięty — usta energiczne, pięknie zarysowane, zęby drobne, niezwykle białe, cerę jasną nieco zaróżowioną, oczy ciemnobłękitne, ślicznie oprawione czarnemi, długiemi rzęsami i łukowatemi brwiami. Włosy długie, bujne, złocisto-ognistego koloru, jaki widzimy na obrazach Tycjana. Nic więc dziwnego, że tak zachwycająca kobieta była nietylko cesarzową Francji, ale królową mody.

Lecz czarem i sprytem swoim zamieniłaby się nader chętnie z najbardziej ograniczoną i najmniej powabną księżniczką z panującego domu, bo nigdy nie mogła przeboleć i zapomnieć, że mimo wszystko nie jest im równą. Nad wyraz zaszczyconą się czuła zaproszeniem angielskiej królowej Wiktorji — która ją wzajemnie też odwiedziła i która jej przyjaciółką pozostała na długie lata. Jej wygórowana ambicja była nareszcie zaspokojoną, gdy podczas wystawy gościła w Paryżu cara rosyjskiego, króla pruskiego, sułtana tureckiego i wielu innych potentatów.



Winterhalter: „Cesarzowa Eugenja w otoczeniu dam dworu“

Urodzenie się syna 16 marca 1856 r. zdawało się wzmocnić dynastję i dodawać nowego blasku koronie. Ojcem chrzestnym następcy tronu był sam papież a matką królowa szwedzka; przy chrzcie było obecnych 75 biskupów i 2 arcybiskupów — a nowa latorośl bonapartowskiego szczepu otrzymała imiona: Napoleon, Eugenjusz, Jan, Józef i urzędowy tytuł „prince imperial“. Cesarska para oświadczyła, że będzie rodzicami chrzestnemi 4000 dzieci urodzonych we Francji tego samego dnia, co ich syn.

Eugenja została następnie mianowana regentką w czasie wojny, w razie nieobecności cesarza i w razie, gdyby następca tronu jako małoletni objął rządy. Przy otwarciu kanału suesskiego zastępywała męża, a podróż jej przez Włochy, Grecję, Turcję i Egipt, był wspaniałym pochodem triumfalnym. Były to ostatnie jasne chwile jej istnienia, gdyż odtąd zda się, że ciemne chmury zawisły nad horyzontem jej życia. Sądząc, że zwycięstwa wzmocnią dynastję, że syn jej jako potomek chwałą okrytego rodzica stanie się ulubieńcem narodu — wszelkiemi siłami parła do wojny z Niemcami. Gdy jedne hiobowe wieści po drugich nadchodziły z pola walki, gdy lud coraz bardziej się burzył, nie traciła mimo wszystko nadziei zwycięstwa, nie myślała o sobie i swem bezpieczeństwie, lecz tylko o państwie i narodzie. Najpiękniejsze sale w Tuilleriach zamieniła na lazarety, sama pielęgnowała chorych i rannych. Dopiero na wiadomość o pobiciu armji, o wzięciu do niewoli cesarza, gdy wokoło niej coraz groźniej szumiała rewolucja, gdy już roznamiętnione tłumy otoczyły pałac — dała się nakłonić do ucieczki. „O, nieszczęsne miejsce, już tak los postanowił, że wszystkie koronowane głowy w ten sposób cię opuszczają“. Z pomocą amerykańskiego lekarza Evensa, w towarzystwie swej wiernej sekretarki p. La Brete zdołała umknąć do Anglji, gdzie z synem i mężem, wypuszczonym po siedmiu miesiącach z niewoli, zamieszkała w Chislhurst obok Londynu. Trzeba było odtąd żyć nader skromnie i choć potwarz głosiła, że cesarska rodzina uchodząc zabrała ze sobą miljony, musiała Eugenja spieniężyć swe brylanty, a Napoleon swój prywatny „Pallaco dei Cesari“ w Rzymie, by uzyskać środki na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb.

Z początkiem 1873 r. uległ cesarz swemu długoletniemu cierpieniu, a wdowa jego miała odtąd tylko jedną myśl, jedno marzenie, jedno dążenie — osadzenie swego syna na tronie francuskim. W tym celu zajmowała się pilnie polityką, wspierała jak tylko mogła stronnictwo bonapartystów i dbała bardzo o troskliwe wychowanie swego jedynaka. Gdy tenże stał się pełnoletnim, ogłosili go bonapartyści swym zwierzchnikiem, przyszłym władcą, który miał panować jako Napoleon IV, równocześnie jednak postanowili, że powinien się ozdobić wawrzynem zwycięskim i w tym celu przyłączyć się do wyprawy Anglików przeciwko Zulusom. Książę też tak uczynił, brał udział w potyczkach — ale zapędziwszy się razu pewnego zbyt daleko w pustynię, został znienacka napadnięty przez dzikich Afrykanów i zakłuty ich dzidami. Na pewną wieść o śmierci jedynego dziecka, osierociała matka nie wylała ani jednej łzy, nie wydała żadnego jęku, zmartwiała tylko jakgdyby skamieniała zupełnie. Śmiertelne szczątki młodego wojownika sprowadzono do Europy i pochowano obok ojca, na obcej ziemi. Miejsce jego zgonu w południowej Afryce zwiedziła i krwawemi łzami oblała nieszczęsna matka. Od tego czasu, okryta żałobnym kirem, z rozpaczą w duszy i bolem w sercu, nękana nadto i cielesną niemocą, ta niegdyś świetna władczyni i najpiękniejsza z pięknych, wiodła odtąd gorżkie, pełne nieukojonej tęsknoty życie zdetronizowanej monarchini na wygnaniu i matki, która pogrzebała jedyne swe dziecię.

Niekiedy odwiedzała Paryż i wówczas mieszkała w hotelu, skąd miała widok na miejsce swej dawnej świetności, na Tuilerie. W sędziwym wieku, mając lat 95, zgasła w Cannes w 1921 r.

Berta Baumgartenowa

MARJA CORELLI

3)

„BEZ CZEGO ŻYĆ NIE MOŻNA..."

POWIEŚĆ — Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA W. TOMASZEWSKA

Przemyśliwał tę sprawę po wiele razy — tak, jak przemyśliwał ją przez całą noc ubiegłą — i nie mógł, biedny dzieciak, dostrzec w swym zamiarze nic złego, ani kogokolwiek krzywdzącego. Nigdy w ciągu dnia żadne z rodziców nie posyłało po niego — widywał ich wyłącznie przy południowem śniadaniu, które stanowiło jego obiad. Resztę dnia przypuszczano, że spędza z swym nauczycielem na uczeniu się jakichś ważnych i pożytecznych rzeczy. Ale teraz zdarzyło się tak, że przez kilkanaście godzin pozostać ma bez nauczyciela — dlaczegóż więc miałby nie wyzyskać tej okazji zażycia wolności, którą mu szczęśliwy przypadek nadarzył? Roztrząsał jeszcze tę kwestję w swej złotej główce, gdy do pokoju wszedł cichutko Willie Montrose z walizką w ręce.

— Chodźmy, chłopcze! — powiedział z miłym swym uśmiechem, — stąpaj lekko, wszystko śpi jeszcze, chcę być wspólnikiem zbrodni i wyciągnąć cię na tę ranną wycieczkę. Pójdziemy najpierw na śniadanie do miss Payne — do dyliżansu jeszcze moc czasu.

Lionel podskoczył z radości wysoko, a przecież bez najmniejszego hałasu, a potem począł — stosownie do wskazówek Williego, stąpać za nim cichutko, schodząc ze schodów bezgłośnie, niczem kociak na aksamitnych łapkach, zarumieniony cały z radosnego wzruszenia i bojaźni. Drzwi domu otwarły się cicho, i tak samo cicho zamknęły się za niemi i oto stali obaj wśród bujnej, woniejącej słodko gąszczy ogrodu.

— Mr. Montrese, niech mi pan pozwoli ponieść kuferek— odezwał się Lionel stanowczo. — Jestem pewny, że dam mu doskonale radę!

— A ja jestem pewny, że nie... — odparł śmiejąc się Montrose. — Zostaw mi go — mój chłopcze, trochę dla ciebie za ciężki. Oto masz tu, ponieś mi lepiej mego Homera!

Lionel wziął od niego oprawny w skórę tom, po którym było znać, że niezmiernie często był czytywany i niósł go z najwyższą ostrożnością przed sobą w obu rękach, niczem jakąś świętą relikwję.

— Dokąd uda się pan teraz, mr. Montrose — zapytał po chwili, — czy dostał pan znowu jakiegoś takiego ucznia, jak ja?

— Nie, na razie jeszcze nie. Wogóle powątpiewam, czy natknę się znowu kiedy na takiego chłopca, jak ty. Ha, co ty sądzisz o tem?

Lionel namyślał się przez dłuższą chwilę poważnie, za nim odpowiedział.

— Istotnie, nie wiem sam — odparł wreszcie. — Przypuszczam, że muszą jeszcze gdzieś być tacy chłopcy. Ale widzi pan, gdy się jest jedynakiem, staje się człowiek innym, niż inni chłopcy. Trzeba wtedy starać się stać mądrzejszym. Gdybym miał dwu albo trzech braci, mój ojciec starałby się z nich wszystkich zrobić mądrych chłopców, a tak musi żądać tego wszystkiego odemnie jednego. W ten sposób ja się zapatruję na tę sprawę.

— Ah, więc ty się tak na to zapatrujesz, — powtórzył Montrose, przypatrując się z pewną tkliwością maszerującej obok niego delikatnej figurce. — Sądzisz zatem, że ojciec twój pragnie wydobyć z ciebie cały zasób rodzinnej inteligencji? Istotnie, przypuszczam, że tak jest!

— Tak, tak, — odparł Lionel z namaszczeniem. — To całkiem naturalne, co pan o ojcu myśli w tej kwestji. Gdyby pan sam miał jedynego syna, i pan by musiał dużo się po nim spodziewać i dużo żądać od niego.

— Dużo, dużo za wiele — mruknął Willie pod nosem.— A potem dodał głośno: — Nie turbuj się tem chłopcze. Uczysz się zupełnie wystarczająco szybko, a umiesz teraz dużo więcej, niż ja w twym wieku kiedyś umiałem. Kiedy byłem w szkole w Iverness jako mały chłopak, cały prawie czas spędzałem na bijatykach, oto jak się uczyłem w twoim wieku...

Zaśmiał się swym radosnym, dźwięcznym śmiechem, który był w swej beztrosce prawdziwie zaraźliwy. A więc Lionel zaśmiał się z nim razem. Jakież zabawne wydawało mu się, że jego rówieśnik spędzał czas na bójkach! — jakież to wyjątkowe i niezwykłe!

— Mr. Montrose — wykrzyknął — dlaczego bił pan się tyle?

— Oh, każda okazja była dla mnie do tego dobrą! — odparł Montrose z wesołą szczerością.—Jeśli naprzykład sądziłem, że jakiś chłopak ma za długi nos, waliłem go w nos — a potem w boju roztrzygaliśmy razem tę kwestję. O, to były wspaniałe czasy!

— Nigdy nie biłem się z żadnym chłopcem — odezwał się Lionel żałośnie, — nie miałem nigdy nikogo takiego, z kim mógłbym się bić.

Montrose spojrzał na niego i chmura smutku powlekła jego dotychczasową wesołość.

— Słuchaj mnie chłopcze — odezwał się poważnie. — Jak tylko będziesz miał sposobność, pomów ze swoim ojcem i proś go, żeby cię posłał do szkoły. Przecież umiesz gadać. Proś go o to — powiedz mu, że tęsknisz za szkołą, że tego ci właśnie potrzeba, proś go tak, jakby szło o twoje życie. Umiesz tyle, że odrazu zajmiesz tam pierwsze miejsce i będziesz się tam czuł bardzo szczęśliwy, będziesz wesół od rana do wieczora! Znajdziesz tam moc chłopców do bijatyki i do zwyciężania! Walka jest koniecznością w tem życiu, mój drogi chłopcze, a walcząc trzeba umieć zwyciężać. A najlepiej jest zaczynać ćwiczyć się w tem za młodu, bo tylko przez ćwiczenie dochodzi się do mistrzowstwa. Powiedz ojcu, — powiedz temu nauczycielowi, który tu po mnie przyjdzie, że chciałbyś strasznie pójść do publicznej szkoły, do Eton, Harrow czy Winchester, — gdziekolwiek, gdzie się chłopców wychowuje na ludzi.

Lionel robił wrażenie równie zdziwionego jak zmartwionego.

— Tak, będę prosił, ale jestem pewien, że mi odmówią. Ojciec nie chce nigdy nawet słyszeć o tem. Chłopcy w zakładach publicznych chodzą zawsze w niedzielę do kościoła, czyż nie? A pan przecież wie, że tego nigdy mi nie pozwolą!

Montrose nic na to nie odpowiedział i milcząc już doszli do gospody miss Payne. Na progu stała sama miss Clarinda Cleverly Payne, żywa, niemłoda osóbka o miłej, czerstwej twarzy, w liliowej wełnianej sukni i czepcu, jaki modny był jeszcze pół wieku temu.

— Dzień dobry, panowie! Śliczny poranek mamy dziś! Dzień dobry, paniczu! Mam dla panicza jajka świeżuteńkie — przed chwilą moja kokoszka zaczęła gdakać, jakby akurat dla panicza chciała złożyć jajeczko! O jej, gdyby to wszyscy chcieli tak spełniać swoje obowiązki, jak moje kureczki, lepiej by się działo na świecie, niż teraz. Proszę bliżej panowie, proszę wejść, panie Lionelu. Stół czeka nakryty, wszyściutko jest przygotowane; okno szeroko otwarte, bo zaraz koło okna rośnie powój i pachnie okrutnie — słowo daję. Mówię panom, że nie ma to, jak dewoshirskie powoje, no i jak dewoshirska śmietanka! A znajdą jej panowie do śniadania tyle, ile dusza zapragnie! Myślę sobie, że ten młody panicz musi być zmartwiony, że taki dobry i grzeczny pan nauczyciel odjeżdża, co?

— Tak madam, jestem bardzo zmartwiony — odparł poważnie Lionel — zdejmując uprzejmie czapeczkę i spoglądając

w górę w opaloną, poczciwą twarz miss Clarindy. Ale czy pomoże co martwić się, prawda? On musi odjechać, a ja muszę zostać — i gdybym nawet cały rok z tego powodu się zamartwiał, czyby się przez to cokolwiek zmieniło?

— Nie, pewnie, że nic — odparła miss Payne — spoglądając uważnie w wzniesione ku sobie oczy dziecka, które przemawiały do niej jakąś dziwnie poważną i patetyczną wymową. Ale widzisz, paniczu, nie każdy z nas potrafi rzeczy tak rozsądnie brać, jak ty, kochanie! Nie wszyscy jesteśmy na to dość rozumni, ot co?

— Rozumni! — wykrzyknął Lionel z akcentem takiej goryczy, jaka przystałaby staremu cynikowi po wieloletnich, ciężkich doświadczeniach życiowych — ja nie jestem wcale rozumny. Ja jestem tylko nadziany.

— Boże, zmiłuj się! — wykrzyknęła Klarynda, — spoglądając bezradnie wokół siebie. Co to dziecko przez to może rozumieć?

— Rozumie to, co mówi — odpowiedział Montrose ze słabym, trochę smętnym uśmiechem — gdyby tak pani przyszło uczyć się tego wszystkiego, czego wymagają od Lionela...

— Uczyć się! — wykrzyknęła wzgardliwie miss Payne. — Dzięki Bogu nie musiałam się uczyć. Umiem uczciwie zarabiać na życie i gospodarować bez długów, a to mi całkiem wystarcza.

Kiedy widzę dzisiejsze dziewczęta, obładowane zeszytami, książkami i całą masą rupieci, Bóg jeden wie, do czego przydatnych, to mówię panu, że złość mnie zbiera okropna. Moja siostrzenica Zuzia dostała raz taki tani romans, jakich dziś jest zatrzęsienie i jak siadła do czytania, tak siedziała i czytała i nie ruszała się, a tymczasem śmietanka zbiegła i cała była na nic, a tego samego dnia wieczorem pośliznęła się na schodach, upadła i stłukła wszystkie jaja, jakie niosła w fartuszku, same świeżutkie, dopiero złożone jajka, — a po tygodniu zaczęła czesać swoje włosy na sto różnych sposobów, a jedna koafiura była bardziej wyfiokowana od drugiej, — mało tego jeszcze — zaczęła się tak ściskać w pasie, że nie mogła przełknąć kąska, a nos zrobił się jej czerwony, jak burak. Nic na to wszystko nie mówiłam, bo to najgorzej chcieć młodych przekonywać, że coś źle robią, bo wtedy jeszcze gorzej robią. Ale w końcu udało mi się wyszperać tę jej książkę, co tyle złego narobiła, i sama wzięłam się do czytania. O la Boga! — jak ja się śmiałam, myślałam, że chyba pęknę. Co tam były za bzdury o jakiejś dziewczynie ze wsi, co nic nie umiała, tylko masło robić, a przecież ożenił się z nią prawdziwy książę i wziął ją ze sobą na dwór i miała pełno brylantów i wszystkiego! Takiej kupy bzdur wydrukowanych w jednej książce nie było chyba jeszcze na świecie, a ten, co to napisał, wart był srogiej kary Bożej! Poszłam do mojej siostrzenicy i tak jej powiedziałam: Moja kochana Zuziu, taką jak jesteś, jesteś zdrową, chożą dziewczyną i jak zostaniesz taką, jak cię Pan Bóg stworzył, możesz znaleść porządnego, gospodarskiego syna, który się z tobą ożeni i będziesz szczęśliwie żyła. Ale jak nabijesz sobie głowę takimi hrabiami i księżniczkami, jakich pełno w tej twojej książce i będziesz sobie robiła takie zwarjowane romansowe fryzury, to nie będzie w całym Combmartinie jednego chłopca, któryby z ciebie nie drwił. I jak mnie tu widzisz, tak z pewnością wszystko to bardzo źle się dla ciebie skończy! — Zuzia, to była poczciwa dziewczyna, wiedziała, że jej dobrze życzę, wrzuciła książkę do tej naszej studni na podwórzu, co ma pięćdziesiąt metrów głębokości i wzięła się z powrotem do śmietanki. Teraz jest szczęśliwą mężatką, żyje na własnem obok w Wollacomb i dobrze się jej powodzi. Ma dobrego męża, ładne gospodarstwo, troje dzieciaków — no i niema czasu na czytanie romansów, — chwała Bogu!

Cała ta przemowa, wygłoszona z wielu oratorskiemi giestami i zadziwiającą płynnością, bez jednej bodaj pauzy — pozbawiła miss Clarindę tchu, a że znajdowała się teraz z gośćmi w najlepszej izbie gospody, przeto odpłynęła z szelestem spódnic, by przygotować im śniadanie. Montrose wychylił się przez otwarte okno, wokół którego zwisał w kwietnych girlandach „okrutnie pachnący powój" i z głębokiem westchnieniem zachwytu wciągał upajającą jego woń.

— Ślicznie tu jest w tym Combmartin — odezwał się wpół do siebie, wpół do Lionela — ale przecie nie tak, jak w Szkocji.

Lionel usiadł na desce okiennej z trochę znużoną minką, ciągle jeszcze w obu dłoniach ściskając tom Homera.

— Czy wnet pojedzie pan do Szkocji? — zapytał.

— Tak. — Pojadę prosto do domu na kilka dni zobaczyć się z moją matką. — Młody człowiek odwrócił się i patrzył na swego małego ucznia z bezwiedną czułością. Cieszyłbym się, gdybym mógł cię wziąć ze sobą. Moja matka pokochałaby cię zaraz, jestem pewien.

Lionel milczał. Myślał, jakby to dziwnie było, gdyby pokochała go matka mr. Montrose'go, gdy jego własna matka nie kocha go wcale. W tejże chwili miss Payne weszła ze zwykłym, miłym uśmiechem i furkaniem spódnic i wniosła wyborne śniadanie, pyszną herbatę, mleko, świeżutkie jajka, śmietankę, marmoladę, domowy chlebuś, dymiącą kaszkę, wszystko w podniecającej apetyt obfitości, a dla ukoronowania tej uczty postawiła na środku stołu w starym, pięknym, chińskim koszyku cudne, rumiane jabłuszka i soczyste gruszki. William Montrose A. B. i mały jego przyjaciel zasiedli do wspólnej uczty, każdy z odmiennemi uczuciami — „nasz Willie" zajadał z pełnym uznania dla tych wszystkich wyborności apetytem, — chłopak tylko ze słabą do jedzenia ochotą, zduszoną umysłowem przemęczeniem i wynikłą stąd stałą apatją fizyczną. Starał się przecież ile mógł jeść, by nie zrobić przykrości swemu dobremu, kochanemu towarzyszowi, z którym lada chwila miał się rozstać. Dopiero, gdy całkiem ukończył śniadanie, Montrose, odsuwając od siebie filiżankę, odezwał się w te słowa do swego ucznia:

— Słuchaj mnie uważnie, Lionelu. Nie chcę, byś o mnie zapomniał. Gdyby zaś przyszło ci kiedykolwiek uciekać z domu — tu głęboki rumieniec oblał twarzyczkę Lionela, bo czyż dziś właśnie nie zamierzał takiej ucieczki — lub coś w tym guście, napisz mi natychmiast i donieś o wszystkiem. List wysłany do mej matki zawsze dojdzie do mnie w najkrótszym czasie. Adres znasz. Nie namawiam cię bynajmniej do żadnej ucieczki — przyczem wyglądał tak, jakby właśnie namawiał, — byłby to czyn prawdziwie rozpaczliwy, ale, gdybyś uczuł, że już absolutnie nie możesz wytrzymać ze swojemi lekcjami, albo że profesor Cadman-Gore jest nad twoje siły, to wtedy, zamiast załamać się pod zbyt wielkim ciężarem, uczynisz lepiej, gdy podasz tyły i schronisz się do mnie. Mam wrażenie, że daję ci w tej chwili rady, któreby mi bardzo wielu wielce za złe wzięło, — mimo to od czasu do czasu chłopcy *przecież* uciekają i to się *przecież* już nie raz zdarzyło! Tu zamrugał swemi wesołemi, niebieskiemi oczyma. A jak powtórzą ci się kiedyś te zawroty głowy, które miałeś kiedyśtu, albo zemdlejesz tak, jak zeszłego tygodnia, — to naprawdę nie możesz wtedy czekać dłużej, — musisz powiedzieć ojcu i poprosić, żeby cię zaprowadził zaraz do doktora.

Lionel słuchał z wyrazem cierpliwej rezygnacji.

— I na cóż to wszystko — westchnął. Pan wie, że nie jestem chory. A zresztą doktor badał mnie już raz i powiedział, że mi nic nie brakuje. Zdaje mi się, że doktorzy nie są zbyt mądrzy. Przed dwoma laty mamusia była bardzo chora, a oni wcale nie umieli jej pomóc. A jak już powiedzieli, że wszystko stracone i poszli sobie, wtedy zrobiło się jej lepiej. Zdaje się, że to zawsze tak bywa, — im więcej się z niemi zadawać, tem dla człowieka gorzej.

Montrose przyzwyczajony był właściwie do tego tonu beznadziejności i rozwagi u Lionela, — ale jednak teraz, w ten piękny, słoneczny poranek, gdy on sam w pełni zdrowia i radości życia odjeżdżał do domu, do osób kochających i kochanych, tem boleśniej niż zwykle uderzyło go to bezwzględne osamotnienie tej dziecięcej egzystencji i patetyczna jego rezygnacja.

— A co do ucieczki — ciągnął Lionel dalej — możebym zrobił to na jakichś parę godzin... Ale gdybym uciekł tak na serjo i poszedł na marynarza, o czem zawsze marzyłem, byłby z tego tylko taki skutek, żeby mnie przemocą do domu sprowadzono — pan wie, że tak by się stało... A gdybym o tem do pana napisał, naraziłbym pana na najokropniejsze przykrości. Mnie się zdaje, że pan, panie Montrose, nad tem się nie zastanawia, ale zato ja o tem myślę.

— Ty wogóle myślisz zawiele — przerwał mu prawie szorstko Montrose. Gniewało go to, że w istocie ten jedenastoletni malec okazał się doroślejszym i rozważniejszym od niego, dwudziestosiedmioletniego mężczyzny! — Ty zawsze zastanawiasz się nad wszystkiem.

— Tak, to prawda — przyznał Lionel z powagą, — ale na świecie jest tyle do przemyślenia, czyż nie?

Na to odpowiadać Montrose wogóle nie zdradzał ochoty. Ze zmarszczoną brwią wpatrywał się w stojące przed nim rumiane jabłka — wtedy uczuł naraz na swym ramieniu chłodną i drżącą rączkę.

— Ale nigdy nie zapomnę pana — Willie! przemówił, zatrzymując się chwilę przed wymówieniem imienia — pamięta pan, raz mi pan powiedział, że mogę pana nazywać nieraz po imieniu. Pan był tak dobry dla mnie, — był pan najmłodszym ze wszystkich moich dotychczasowych profesorów — i najlepszym, — a choć nie mogę spamiętać wszystkich moich lekcyj, potrafię dobrze spamiętać sobie dobroć. Potrafię!

Gdy mówił, wydawał się tak drobny i delikatny z tą twarzyczką mieniącą się wzruszeniem i oczyma pełnemi wymownego uczucia, że Montrose poczuł nieposkromioną ochotę, by chłopaka serdecznie ucałować jak takie małe, śliczne dziecko. Ale w porę przypomniał sobie, że umysł tego dziecka przeładowany mądrością różnych starych i nowych filozofów, przepełniony jest całym balastem suchej wiedzy — pomyślał więc z przebłyskiem humoru, że śmiesznie byłoby może całować takiego małego, uczonego mężczyznę. Poklepał go więc tylko kilka razy serdecznie i odpowiedział: Wszystko zatem w porządku, chłopaku! Wiem, wiem. Tylko wspomnij sobie od czasu do czasu o tem, co ci mówiłem, i jeśli poczujesz, że mąci ci się już w głowie od tych wszystkich książek, idź wtedy na świat i nie dbaj o lekcje, — a jeśli oberwiesz nawet za to burę, nie rób sobie wiele z tego, bo lepsza bura, niż choroba. Nie ma na świecie ważniejszej rzeczy, jak zdrowie. — Jest dużo, dużo ważniejsze niż majątek.

W tej chwili rozbrzmiała wesoło i dźwięcznie trąbka pocztyliona i Willie zerwał się z krzesła. Na Jowisza, czas na mnie! Miss Payne, Clarinda!

— Całkiem to podobne do pana, niepoprawny lekkomyślniku, żeby wołać na mnie „Clarinda“ — wykrzyknęła miss Payne, ukazując się w progu, z ramionami obnażonemi po łokcie i upudrowanemi mąką, którą widać właśnie miesiła. — Nie wiadomo doprawdy, na co sobie dzisiejsi panowie pozwolić jeszcze gotowi! — i poczciwa miss Clarinda mimo swych pięćdziesięciudwu lat chichotała i wdzięczyła się wstydliwie. A Montrose, bynajmniej nie onieśmielony, wsypał jej do fartuszka znacznie więcej, niż wyniosła zapłata za śniadanie i odważnie ucałował ją w rumiany policzek (nie wahał się pocałować Clarindy, choć przed chwilą nie zdobył się na odwagę ucałowania Lionela).

— Mężczyźni dzisiejsi są doprawdy bezwstydni! Inaczej naprawdę bywało, gdy byłam młodą dziewczynką!

— Nie, nie. Zapewniam cię, Clarindo, pod tym względem nic się nigdy nie zmienia, — roześmiał się Montrose, naśladując zabawnie jej głos i ruchy, — tak zawsze bywało, tak zawsze będzie aż po dzień Sądu Ostatecznego! Mężczyźni zostaną zawsze szatanami, — a kobiety — aniołami! Żegnaj, luba Clarindo!

— Do widzenia! Szczęśliwej podróży! — i miss Clarinda dygała z okwieconego ganeczka swej gospody z tym samym całkiem wdziękiem, z jakim najpierwsze damy kraju składają ukłon Jego Królewskiej Mości. — Mam nadzieję, że ujrzymy tu Pana kiedyś znowu!

— I ja mam nadzieję! — wesoło odkrzyknął Willie, machając na pożegnanie jedną ręką, podczas gdy druga dzierżyła walizkę. Wyciągniętym krokiem sunął przez uliczkę — a za nim dreptał Lionel — prosto do oberży, przed którą właśnie zajechał dyliżans. Było to staroświeckie „pudło“, zaprzężone w cztery silne konie, ale stanowiło miły obrazek wraz z gramolącemi się na wysokie stopnie dyliżansu pasażerami, rumianymi od porannego chłodu, biało ubranym woźnicą i jego wesołym towarzyszem, który dął w trąbkę więcej chyba dla własnej przyjemności, niż z istotnej potrzeby. — Lionel spoglądał na to wszystko z jakimś spokojnym zachwytem.

— Pan musi się cieszyć, że pan jedzie, mr. Montrose, — odezwał się. — Pan *musi* się cieszyć!

— Tak, pod pewnym względem jestem bardzo zadowolony, — ale pod innym zatroskany. Żal mi się porzucać, Lionelu. Chciałbym był móc pozostać z tobą tak długo, jak długo potrzebowałbyś mej obrony przed wszelkiemi utrapieniami.

— Pan by chciał naprawdę? — zapytał Lionel, patrząc na niego zdziwionemi oczyma. — Ale właściwie nie dzieje mi się żadna krzywda. Nic szczególnego mnie nie spotyka, pan przecież wie. Wszystkie dnie upływają mi jednakowo.

— Dobrze, dobrze chłopcze, a teraz żegnaj mi! — rzekł Montrose, wręczając walizkę pocztyljonowi. Obie ręce położył na wątłych ramionach chłopca i powiedział: Jak wrócisz do domu, powiedz ojcu, że to ja wziąłem ciebie ze sobą dziś rano, żebyś mnie mógł odprowadzić i jeżeli z tego powodu chce się ze mną porozumieć, może to uczynić listownie — a adres mój zna. Pamiętaj, że ja wyłącznie ponoszę winę i odpowiedzialność! Pa, mój mały chłopaczku, pa kochanie — i — i — niech cię Bóg błogosławi!

Usteczka Lionela drżały i biedny to był uśmiech, którym starał się maskować łzy.

— Do widzenia! — odparł słabym głosikiem.

— Tu-tu-tu-tu! — zadął pocztyljon na swej błyszczącej trąbce, — Montrose zręcznie wydrapał się na swoje miejsce na sam szczyt dyliżansu. Woźnica z czerwonem obliczem spojrzał surowem okiem na grupę dzieciaków wiejskich, które obstąpiły dyliżans pełne podziwu dla jego osoby i dla tak świetnego wehikułu.

— Na bok, na bok dzieciska! — krzyknął. — Odpowiedział na to huralny wrzask, konie ruszyły z miejsca. — Tu-tu-tu-tu! I w jasnem słońcu poranka potoczył się raźno dyliżans wioskową ulicą z ochoczym tętentem koni, których grzywy powiewały na wesołym wietrzyku.

— Do widzenia! Do widzenia! — raz jeszcze zawołał Montrose, energicznie powiewając wielkim, słomianym kapeluszem w stronę samotnie na drodze stojącej figurki.

Lecz głosik Lionela nie był dość silny, by mógł donieść ostatnie jego pożegnanie, więc tylko uniósł swej czerwonej czapeczki. Już za chwilę uśmiech, którym żegnał przyjaciela, pierzchnął z jego twarzyczki, a na czole pogłębiła się pionowa bruzda. Stał bez ruchu, aż zniknął ostatni ślad dyliżansu, — potem drgnął, jakby z głębokiego snu zbudzony — i wtedy spostrzegł, że ciągle jeszcze dzierży w rękach tom Homera. Montrose zapomniał o nim i nie wziął go. Parę kroków od niego stała gromadka wiejskich dzieci, gapiąc się na niego i Lionel usłyszał, że mówią „o małym paniczu, mieszkającym w wielkim domu“. Spojrzał teraz na nie — było tam kilku małych chłopców o rumianych policzkach, trzymających w rękach rumiane jabłuszka — a twarze ich mogły z niemi godnie rywalizować pod względem czerwoności, połysku i krągłości. Chętnie byłby do nich przemówił, ale instynktownie odczuwał, że gdyby je zagadnął, albo przelękłyby się, albo okazałyby się napastliwe, — poniechał więc tej myśli i poszedł w swą samotną drogę. Nie szedł do domu — nie, — postanowił świętować cały dzień, użyć go prawdziwie, zanim jeszcze przybędzie nowy profesor. (C. d. n.)

WŁADYSŁAW RYSZARD KAWECKI

WYTWARZANIE SIĘ POJĘCIA O ETYCE U DZIECKA

Kto zna literaturę psychologji dziecięcej wie, że dotychczas bardzo mało zajmowano się pytaniem: jaką rolę odgrywa etyka w życiu dziecięcem.

Niedawno temu obserwowałem 7-go letniego chłopca, wyrywającego chrząszczowi jedną nóżkę po drugiej. Zwróciłem mu uwagę na to, że się tak nie postępuje i że powinien odczuwać żal, że owadowi wyrządza tyle bólu. — „To go przecież nie boli, zresztą poco ogryza liście z drzew". Widzimy więc, że ów chłopiec, nie wykazujący żadnych cech zwyrodnienia, nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia i chrząszczowi zadawał taki ból, by się bawić. — Obserwując dziecko przy zabawie, przy rozdawaniu owoców lub cukierków, wszędzie rzuca się nam w oczy jego jaskrawy egoizm. Ażeby zapewnić sobie posiadanie zabawki, choćby nawet bezprawnie sobie przywłaszczonej, dziecko ucieka się często do kłamstw. Myliłby się, ktoby sądził, że dziecko, jako takie, jest uosobieniem zła i nieprawości — bynajmniej — lecz również nie jest aniołem. Jeżeli dziecko ogarnie złość na jego własną i kochającą je matkę i złości swej daje wyraz nader widoczny głośnem tupaniem i zaciskaniem miniaturowych piąstek, dzieje się to dlatego, że dziecku temu ani przez myśl nie przechodzi, że odgrywa rolę niemądrą i śmieszną. By zrozumieć w całej pełni swój stosunek do osoby drugiej, potrzeba na to złożonego procesu myślowego i znajomości zasad kojarzenia myśli. Trzeba poznać i zrozumieć swoją własną wartość, wartość osoby drugiej, trzeba zrozumieć warunki, w jakich odnośna sytuacja ma miejsce, — jednem słowem konieczne jest zrozumienie sytuacji całego szeregu danych, których dziecko w zaraniu swego rozwoju oczywiście nie może ocenić ani pojąć.

Kto obserwuje dzieci dokładnie, nie ujdzie jego uwadze, że dziecko długo nic nie wie o tem, że postępuje źle. Postępowanie nasze będzie etyczne w całem tego słowa znaczeniu, gdy będzie mogło służyć na wzór dla innych. Ażeby to pojąć, musimy posiadać dużo wiadomości, których dziecko mieć nie może. Otóż, podczas gdy zwierzę o stosunkowo prostej budowie ustroju jak n. p. mrówka lub pszczoła, przychodzi na świat z całym szeregiem umiejętności i zdolności, z silnie rozbudowanym systemem instynktów, ustrój więc ich prawie żadnych nie wymaga przygotowań, by uczynić zadość skromnym warunkom życiowym, — człowiek natomiast rodzi się jako istota słaba, niedołężna i niezdolna do życia bez obcej pomocy. Mózg dziecka wykazuje po urodzeniu się poważne braki. Rozwój fizjologiczny ustroju nerwowego jeszcze bynajmniej nie jest ukończony, a co mówić o rozwoju duszy dziecięcej, znajdującym się w samym zaraniu. — Dziecko rodzi się bez najmniejszej świadomości, bardzo powoli rozszerza się zakres jego wiadomości, z których każdą zdobywa na drodze doświadczenia. Dziecko po narodzeniu się umie ssać, wykonywać ruchy i krzyczeć, — to cała jego filozofja. Z chwilą, gdy przykrego doznaje uczucia, krzyczy. Podkreślam tu nawiasowo, że uczucie bólu — w najszerszem tego słowa znaczeniu — w życiu dziecka jest starszem, niż uczucie szczęścia. Jak bowiem wiadomo, pierwszy uśmiech zjawia się na licach dziecka dopiero znacznie później. — Z chwilą, gdy dziecko jest głodne, krzyczy. Również, gdy doznaje przykrego uczucia, leżąc na mokrej pieluszce. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że uczucie głodu usunąć można przykładaniem go do piersi. Nawet powyższa wiadomość tak elementarna i odgrywająca tak doniosłą rolę w życiu dziecka, uprzytamnia mu się dopiero znacznie później. — Z powyższych rozumowań wynika, że dziecko napotyka w początkach swego rozwoju, na każdym kroku na rozliczne trudności. Pierwsze jego wrażenia odnoszą się oczywista wszystkie do jego osoby. Wrażenia te są dla niego tak nowe, tak mu obce i niezrozumiałe, że zajmują całkowicie jego uwagę i wyobraźnię. W duszy dziecięcej dla innych pojęć jeszcze trudniej dla niego uchwytnych, jak dla altruizmu, żadnego niema miejsca. To też nie może nas bynajmniej dziwić, że pierwsze wrażenia dziecięce skierowują w kierunku egoizmu całą sferę jego uczuć. Obserwując dziecko dokładnie, ma się wrażenie, że tylko w sobie widzi osobę, całe natomiast otoczenie martwe i żywe jest na to, by mu służyć. Dziecko jest niezdolne do ogarnięcia całokształtu stosunków złożonych, otaczających je i dlatego patrzy na nie swem naiwnem okiem. Po pewnym czasie przychodzi jednak do przekonania, że podczas gdy inni walczą o byt, jemu „pieczone gołąbki wpadają same do gąbki".

I nic w tem dziwnego, gdyż tak jest w istocie rzeczy. Co dzień ma liczne niezbite dowody na to, że nikt z otoczenia nie może mu odmówić żadnej prośby: często rodzice odczytują mu z oczu każde jego życzenie i zaledwie myśl odnośna powstaje w jego wyobraźni, a już nabiera realnych kształtów. W tych warunkach dziecko z natury rzeczy musi przyjść do przekonania, że całe otoczenie stoi do jego usług, a z usług tych korzysta w całej pełni.

Wkrótce zaczyna sobie zdawać sprawę, że nie chodzi tu bynajmniej o akt wdzięczności, o której nie może być zupełnie mowy.

Widzimy więc, że ze względu na stosunek jego do otoczenia, musi się w nim wytworzyć silny pierwiastek egoistyczny. Ten jego pogląd ulega dopiero znacznie później stopniowej zmianie. Niebawem przychodzi dziecko do przekonania, że z chwilą, gdy jego młodsza siostrzyczka roni gorzkie łzy dlatego, że jej wzięto zabawkę, samo bawić i cieszyć się nie może, mając przed oczyma rozszlochaną swą siostrzyczkę. I wkrótce spostrzega dziecko, że z chwilą, gdy młodsza jego siostrzyczka promienieje szczęściem, radosne to uczucie udziela się mimowoli i jemu. Zaczyna rozumieć, że chcąc być szczęśliwym i wesołym w całej pełni, musi ustępować pod niejednym względem swej siostrze. Początkowo ustępstwa te są drobne i odnoszą się do osób umiłowanych, później natomiast koło ich coraz więcej się rozszerza, egoizm dziecka staje się coraz szlachetniejszym a obok niego wykwita jako wątła roślina — uczucie altruizmu, które z biegiem rozwoju coraz wyraźniejszy wywiera wpływ na tworzącym się jego charakterze.

Już od najwcześniejszej swej młodości dąży dziecko do tego, by o ile możności sprostać pod każdym względem dorosłym. A dążność ta wytwarza się u niego na tle porównania siebie z dorosłym; samokrytycyzm jego sięga zwykle tak daleko, że porównanie to wypada na jego niekorzyść pod każdym względem. Ponieważ dziecka nie stać na oryginalne drogi, — dla rozwoju jego nie pozostaje nic innego, jak naśladowanie starszych, w czem dochodzi wnet do doskonałości. Początkowo naśladuje swego ojca, później wysuwa się przez pewien czas na pierwszy plan nauczyciel. Każde jego słowo staje się dla dziecka alfą i omegą wszelkiego rozumu. Doświadczenie uczy nas jednak, że nauka nic nie jest warta, gdy z góry działa zły przykład.

Było to w roku 1922. — Żywo mam w pamięci chłopaka, który wychował się w atmosferze złodziejskiej. Uosobieniem wszelkiego zła w jego oczach była policja „która ludziom żyć nie pozwala". O tem, że pracować należy, by zarobić na życie, chłopiec ten nie miał najmniejszego pojęcia. Jego pojęcie o pracy utożsamia się z pojęciem o kradzieży, bo tak on, jak i całe jego otoczenie wyłącznie z niej żyło.

KAZIMIERA ALBERTI

SYLWETKA NIEMKI

Długie perspektywy ulic: Friedrichstrasse, Leipzigerstrasse, Unter den Linden... Sznury aut, rozblaski łukowych, elektrycznych słońc, specyficzny zapach benzyny, nieprawdopodobne karaty brylantów wykwitające za ramą wystawowych szyb, ustawiczne falowanie ciemnego tłumu, zbitej, ruchliwej masy, huk czteromiljonowego miasta, „Berliner Leben"...

Kobiecą sylwetką, która wyłania się nagle z tłumu, nie jesteśmy na pierwszy rzut oka zachwyceni. Nie jest to zjawisko żywej i wiecznie roześmianej kobiety południa. Inaczej wygląda nerwowa, naszminkowana, elegancka Francuzka, albo chociażby dystyngowana i opanowana w ruchach smukła Skandynawka z Kongens Nytory lub Oster gade.

Gdy jednak przypatrzymy się bliżej? Miłe rozczarowanie... Niemka nie jest brzydka... Ma ładną, świeżą cerę, używa bardzo mało szminki a te, które rażą obecnie koło Zoo na Tauenzienstrasse lub Kurfürstendamm brutalną nieumiejętnością „charakteryzowania" się, to Rosjanki lub Żydówki. W domu Niemka nie używa kosmetyków, na ulicę rzadko — czasami do teatru lub na przyjęcie, ale w ilości tak małej, że nigdy nie razi skandalicznie upudrowanym nosem jak n. p. Rosjanka lub upiorną czerwienią ust jak Amerykanka — w myśl wiersza Tuwima z nadmiernem przekroczeniem tego „troszeczkę"... Francuzka używa szminki umiejętnie, po mistrzowsku prawie, z pomadką do ust i pudrem nie rozłącza się nigdy — a Wolfsohn w Karlsruhe może dlatego tylko nie zbankrutował, że dużo wysyła na eksport... — nawet do Polski...

Zawiedziemy się bardzo, skoro myślimy, że mimo swojej przeciętnej ładności Niemka przedstawia się, no powiedzmy... zachęcająco... Brak jej elegancji stroju i ruchów, czarującego uśmiechu, a przedewszystkiem jakiegoś „wabika".

W domu ubiera się więcej, niż skromnie, na ulicę praktycznie — jesienią i wiosną gumowy płaszczyk lub kostjum, zamszowa czapka, — woalowa suknia latem.

W Berlinie zimą nie widzi się prawie bogatych, wspaniałych futer, jeśli — to z pewnością na... cudzoziemce.

Niemka ubiera się tylko na... herbatę, i czasami do teatru. Jakże dużo racji ma Detlev von Liliencron krytykując tak często w drobnych nowelach nieumiejętność ubierania się swoich rodaczek.

W „Komische Oper", „Admiral Palast", „Metropol" ileż widzi się pań w czerwonych — ulubiony kolor... — i popielatych sweterach. — Może w tem i trochę winy nieopalania sal; dzieje się to nietylko w Polsce, z tą różnicą, że gdzieindziej mniej się o tem krzyczy.

Duża stopa, zawsze praktyczny bucik nie przyczyniają się do nadania sylwetce Niemki lekkości i elegancji. Gardzi ona francuską modą, żurnalem, bucikiem — a jeszcze teraz, choć co ma bucik do pokoju wersalskiego!!... a jednak — jakaś niezdrowa ciekawość połączona z cichą, tajoną zazdrością każe berlińskiej elegantce dyskretnie wzdychać na herbatce: „Was wird in Paris getragen"?

Niemka mimo, że ma swoją własną modę, jest aż nazbyt często „unmodern".

Obawia się konkurencji każdej Ausländerin, w szczególności Francuzki i Amerykanki. Wie, że ta jeśli nie urodą, to zawsze elegancją, dystynkcją ruchów, smakiem i wytwornością toalety przewyższy ją wszędzie, na ulicy, na wyścigach, w teatrze i na sali balowej.

Niemka zazdrości Francuzce smaku i ciągle nowych pomysłów w komponowaniu toalet, Amerykance — rozrzutności i szaleńczych, ekstrawaganckich rekordów, Rosjance — wdzięku w szczebiotaniu i... lakierka na bardzo wysokim obcasie — unpraktisch... Angielce — dystynkcji i opanowania ruchów, Polce — wiotkiej i doskonałej „linji".

Ma się rozumieć, że w Berlinie i bogatym Hamburgu jak w każdem wielkiem mieście spotyka się wykwintne zjawiska kobiece, do tych należą przedewszystkiem artystki i głośne gwiazdy filmowe, — ale mówię tu o przeciętnym, codziennym typie, któremu brak wdzięku i lekkości.

* * *

Niemka przy całej swojej oszczędności i praktyczności jest optymistką, jednak przysłowiony typ „berliner Range" nie trafia nam do serca. Jest bardzo sentymentalna, bardzo naiwna i bardzo kochliwa. W towarzystwie wesoła, może nawet uprzejma — nie ma jednak daru prowadzenia interesującej konwersacji — brak jej kapitalnego dowcipu Amerykanki, lśniących, iluzorycznych paradoksów Francuzki rzucanych z szybkością piłek tennisowych, głębokiej i naturalnej inteligencji Słowianki. Jest wesoła, ale nie porywająca, uprzejma, ale zazdrosna, ładna, ale nie umie olśnić, zachwycić — Słowacki zakochany w swojej pannie Corze z Drezna prędko o niej zapomina, po latach przychodzi mgliste wspomnienie pocałunku na ciemnych, pustych schodach — i tyle.

Przybyszewski cytujący w „Moich współczesnych" maksymę Wilhelma, że idealny typ Niemki powinien posiadać trzy „k": „Kirche, Kind und Küche", krytykuje ówczesną kobietę, która była dobrą sługą i kucharką — nie nadawała się jednak na żonę artysty, nie wyrastając nad przeciętną miarę codzienności.

* * *

Niemka tańczy chętnie, ale naśladuje w tem Amerykankę. lubi sport, ale go nie pojmuje tak oryginalnie jak Angielka lub Skandynawka, podróżuje rzadko, — w swoim własnym domu czuje się lepiej, niż w szerokim świecie. Jest naturą nawskróś domatorską. Jedno musimy przyznać, że dba nadzwyczajnie o estetykę mieszkania; w jej salonie prócz tego, że czysto — jest jeszcze zacisznie i przytulnie, „gemütlich". Dużo kwiatów, robót ręcznych, w których jest naprawdę cierpliwą mistrzynią, nadaje wnętrzu mieszkania ciepły charakter.

Niemka jest materjalistką. Zna wartość pieniądza, może ją nawet przecenia. Wszystko w „Tagebuch" zliczy, zapisze, zsumuje, wszystko jest dla niej zawsze „zu teuer"; jej oszczędność i wyrachowanie granicy ze skąpstwem, praktyczność z zanikiem luksusowych upodobań. Jedno musimy zapisać na jej plus: nie znosi próżnowania, lubi pracę i w ramach swego domu jest typem godnym naśladowania.

* * *

O skromnych wymaganiach — Niemka nie potrafiła wywalczyć sobie ani domowej, ani towarzyskiej pozycji. Uważa za rzecz zupełnie naturalną, że jej mąż, brat, czy kochanek pierwszy wchodzi do loży, do powozu, kawiarni i że kelner serwuje najpierw jej towarzyszowi, który znów pierwszy uśmierca najlepsze kąski...

Do jakiego stopnia Niemka nie umiała wywalczyć sobie towarzyskiej pozycji, scharakteryzuje anegdotka zamieszczona w pamiętniku podróży po Niemczech pewnego Anglika.

Ów dżentelmen widząc, że wszystkie miejsca w wagonie kolejowym są zajęte — ofiarowuje swoje jakiejś pięknej pani, która właśnie weszła z towarzyszem podróży. Jakież zdziwienie było owego pana, gdy zamiast uroczej damy — na odstąpione miejsce siada jej towarzysz. Na grzeczną uwagę, że miejsce było przeznaczone „dla pani" usłyszał angielski dżentelmen odpowiedź: (dosłownie) „to nic nie szkodzi — to przecież moja żona".

Chyba Makuszyński opisze dalsze jego zdziwienie, gdy dama zdawała się być srodze uszczęśliwiona z odpowiedzi męża...

* * *

Niemka — nazwę to starym, oklepanym mianownikiem — jest „wolnomyślna". Nie gorszy jej nigdy „freie Liebe", — a prócz „anständiges Brautpaar", — która bardzo często poszukuje oficjalnie w dziennikach mieszkania „mit Küche" na „dłuższy czas" — spotykamy w Niemczech jeszcze inne tak zwane potocznie: „Sonntagsbrautpaar'y". Krótka, niedzielna znajomość z akcesorjami, wycieczka — jeśli to w Berlinie — do Grunewaldu lub Potsdamu latem, jeśli w Hamburgu, to do słynnego Blankensee... kawiarnia z programem kabaretowym zimą... Niemka — jak wspomniałam wyżej — jest kochliwa.

Lubi flirt, ale nie umie go prowadzić błyskotliwie i zajmująco; — rzadko w takich wypadkach pozostanie meteorem, trwającym chwilę wprawdzie, ale olśniewającym i fantastycznym, po zgaśnięciu którego mówi się: „szkoda".

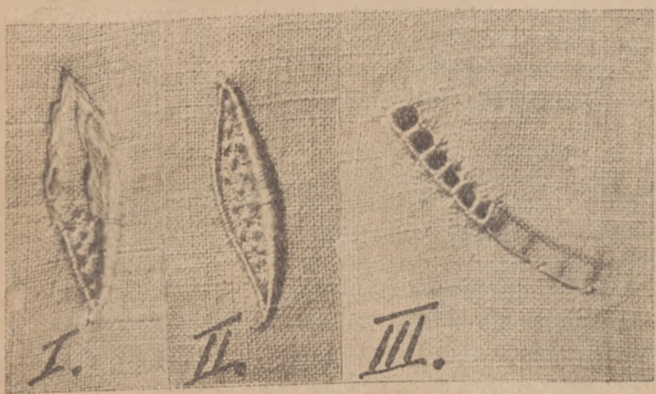
Nawet w miłości jest czasem „langweilig"...

Szyller przecenił trochę i „przepoetyzował" idealny typ niewieści w swoim poemacie: „Würde der Frauen", — pisząc, że sieje on „himmlische Rosen ins irdische Leben"... — i misternie splata „der Liebe beglückendes Band"...

KURS SZYCIA I HAFTU

Dokończenie

Ażeby niejako uzupełnić nasze wskazówki haftu białego podajemy poniżej jeszcze wzory haftu białego atłaskowego. Po przeniesieniu deseniu na materjał (tłustą niebieską kalką albo wzorem przekłutym) napina się go na sitku albo t. zw. tamburku. Wykonuje się go na podwleczeniu, zrobionem z luźnych



ściegów przędzy. Ściegi układa się poczynając tuż przy konturze rysunku i kładąc je ku środkowi coraz wypuklej. Z lewej strony natomiast powinny być ściegi podwleczenia drobne prawie niewidoczne inaczej robota będzie nieforemną. Haft

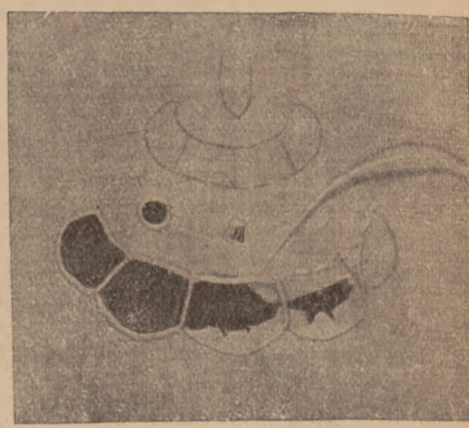


n. p. liście zaczyna się u góry, starannie gęsto umieszczając ściegi z białej lśniącej bawełny jeden tuż przy drugim, przyczem należy uważać, aby linja rysunku była zachowaną. Na naszym wzorze haftowanym połowę liścia uzupełnia druga wykonana t. z. ściegiem szwajcarskim piaskowym lub też „maczkiem" zwanym. Wykonuje się go kładąc trzy lub cztery ściegi jednakowe, jeden tuż na drugim i w ten sposób powstają wypukłe punkty zależnie od ozdobionej powierzchni, większe lub mniejsze. Brzeg połowy liścia wykonanego ściegiem piaskowym, tworzy kordonek haftowany na podwleczeniu dwu nitek.

Następna rycina przedstawia ścieg zwany „kłutą mereżką". Używa się jej jako ozdoby większych płaszczyzn, n. p. przy pościeli, można ściegiem tym ornamentować dowolnie formy ukośne, okrągłe, linje faliste i bogate monogramy. Robota składa się z kilku koleji śniegów. I tak najpierw podwleka się jedną stronę form wzdłuż rysunku dość gęsto pojedynczymi ściegami wprzód igły. Gdy wszystkie formy z jednej strony ściegami obwiedzione, podwleka się drugą, wykonując równocześnie drabinkowe połączenie. W tym celu podwleka się je jednym ściegiem chwytając na igłę podwleczenie przeciwległe, wykłuwaczem kościanym kłuje się sąsiednie kwadraciki i w powrotnej drodze obrzuca gęsto stąd powstały pęk nitek. Gdy wszystkie połączenia są wykonane, obrzuca się jeden i drugi brzeg takiemi samemi gęstemi ściegami.



Ostatnie trzy ryciny przedstawiają robotę gipiurową t. zw. „szpachtlową" i dwa rodzaje roboty Richelieu. Pierwsze wykonuje się podobnie jak kłuta mereżka, z tą różnicą, że przestrzeń między dwoma konturami rozcina się w ciągu roboty nożyczkami, drugie dwa rodzaje są przedstawione tak wyraźnie że dokładniejszy opis byłby zbyteczny. Mamy nadzieję, że przy ścisłem stosowaniu się do naszych wskazówek i rysunków potrafją nawet mniej zaaranżowane w robotach ręcznych Panie nabyć potrzebnej zręczności i umiejętności w wykonywaniu haftów, miło nam będzie dowiedzieć się o tem coś od samych naszych Czytelniczek, z naszej strony postaramy się otrzymany tą drogą materjał zużytkować przy układaniu następnych kursów. Pragniemy jak najbardziej przysłużyć się naszym Prenumeratorkom i w tym kierunku uwzględnić różne życzenia.

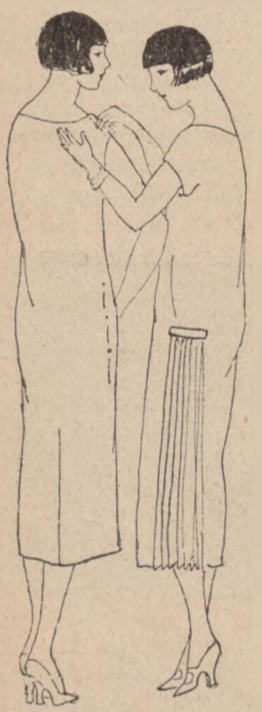


Redakcja

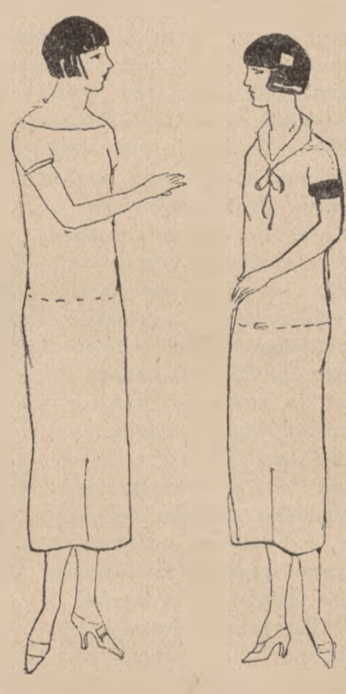
KURS SZYCIA I KROJU

III.

Po przykrojeniu materji sfastrygujemy ją i próbujemy. Jeśli krój był dobrze wypróbowany, nie pozostanie nam nic

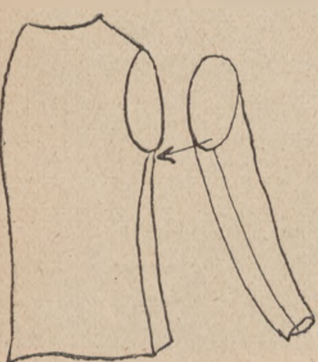


Rys. 14. Próbowanie



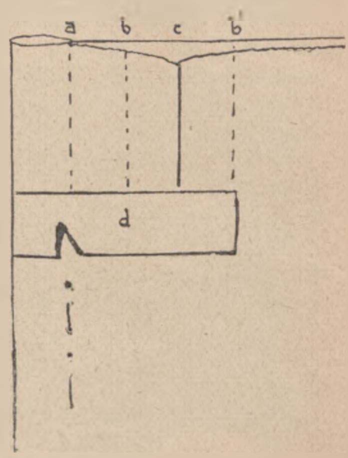
Rys. 15. Zbytnie obciskanie bioder

do pobrawiania. Zwykle regulujemy tylko jeszcze linję ramion, a gdy suknia jest przylegająca, objętość bioder. W piersiach sukni powinna być trochę luźna. Przy linji bioder trzeba bardzo uważać, by nie obcisnąć zanadto. Osoby płaskie mogą sobie pod tym względem więcej pozwolić, aniżeli osoby tęższe. Rys. 15 przedstawia, jak brzydkie linje mogą powstać przy nieumiejętnem opięciu bioder. Dlatego poleca się nosić koniecznie opaskę biodrową, ponieważ wtedy „niebezpieczeństwo" jest mniejsze, a suknia może być bardziej obcisła.



Rys. 16. Wszywanie rękawów

Umiejętne wszywanie rękawów sprawia niejednej nowicjuszce wielkie trudności. Żeby uniknąć za częstego próbowania poleca się posunąć przedni szew rękawa 4—5 cm ku przodowi, mierząc od bocznego szwu stanika (rys. 16). Przy zszyciu zawsze trzeba spróbować przyfastrygowany rękaw. Długość sukni odmierzamy najlepiej na osobie, dla której suknia jest przeznaczona. Istnieją różne przyrządy, które ułatwiają nam to dzieło. Lecz gdy ich nie posiadamy, musimy zakładać i przypinać szpilkami, a po sfastrygowaniu spróbować drugi raz.



Rys. 17. a) gotowy fałd, b b') szew drugiego fałdu, c) zagięcie drugiego fałdu, d) tekturka do mierzenia

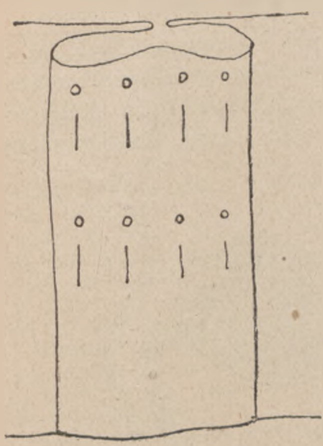
By uwidocznić nowicjuszkom dokładnie wszystkie czynności i sposób postępowania przy szyciu, pokażemy sposób uszycia całej sukni na przykładzie rys. 13. Po wypróbowaniu pozszywamy szwy boczne oraz szwy ramion na maszynie. Następnie ułożymy fałdy boczne spódnicy. Możemy użyć różnych sposobów, żeby je ułożyć równo i w jednakowej szerokości. Ukroimy sobie n. p. tekturkę tej szerokości, jaką mają mieć fałdy (rys. 17). Fałdy fastryguje się wzdłuż do zaprasowania. Jeżeli nie zależy nam na zaprasowaniu, wystarczy zafastrygować tylko górą. Znaczymy sobie odstępy kredą, układamy jeden fałd za drugim, utrwalając je fastrygowaniem. Kto robi kontrafałdy, układa je w sposób, jaki wskazuje rys. 19. Równo ułożone fałdy zszywamy z górną częścią, przystebnowując równocześnie listewkę z tej samej materji lub podszewki dla wykończenia (rys. 20). Listewkę przystebnujemy po lewej stronie (rys. 21).

Po rozprasowaniu szwów na ramionach przystępujemy do wykończenia wycięcia szyji. W tym celu musimy sobie przygotować ukośny pasek materji. Przykrawamy go, kładąc materję

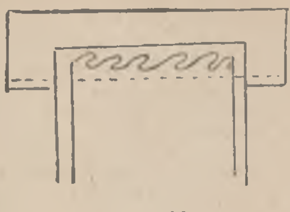


Rys. 18. Układanie fałdów

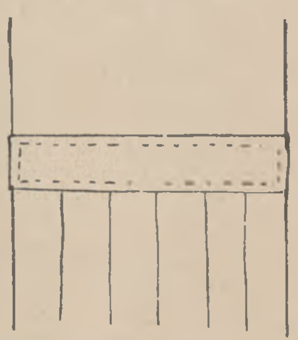
„w chustęczkę" (rys. 22). Krajamy paski najlepiej podwójne. Przy łączeniu musimy uważać, by na rogach wystawały kawałki materji, inaczej brzeg paska będzie nie równy (rys. 23).



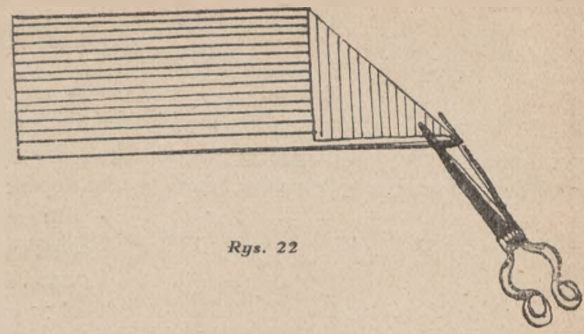
Rys. 19. Układanie kontrafałdu



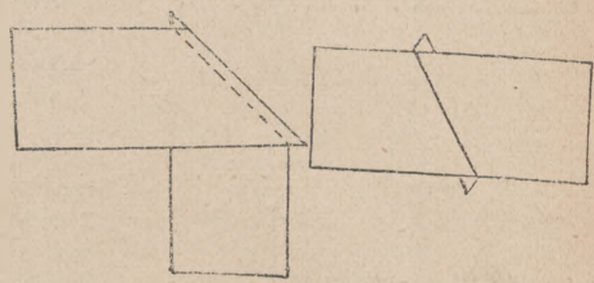
Rys. 20



Rys. 21



Rys. 22



Rys. 23

(ciąg dalszy w numerze 2-gim)

CO PRZYNIESIE „ŚWIAT KOBIECY“ W ROKU 1925

STAŁĄ KORESPONDENCJĘ Z PARYŻA z oryginalnemi fotografjami.

WIELKIE PRZEGLĄDY MODY informujące o wszelkich przejawach w wszelkich dziedzinach mody ilustrowane oryginalnymi paryskimi modelami.

DODATEK ŻURNALOWY od lutego w **każdym** numerze.

DALSZY CIĄG I DOKOŃCZENIE POWIEŚCI „Bez czego żyć nie można“.

POCZĄTEK ORYGINALNEJ POWIEŚCI POLSKIEJ oraz komedyjki salonowe (dowcipne a łatwe do grania).

STAŁE KORESPONDENCJE Z WARSZAWY.

KORESPONDENCJE WŁASNE Z AMERYKI I Z ALGIERU.

STAŁY PORADNIK KOSMETYCZNY.

DZIAŁ RACJONALNEGO PIELĘGNOWANIA CIAŁA wedle najnowszych metod. W tem kurs „gimnastyki piękności“ z fotografjami, wedle których każda z Pań gimnastyki tej się nauczy.

ARTYKUŁY ZNAKOMITEGO LEKARZA o wychowaniu fizycznem.

PORADNIK W KWESTJACH UBIERANIA SIĘ.

W DZIALE ROBÓT RĘCZNYCH między innemi:

1) w styczniu: sypialnia z bogatemi haftami białemi.
2) w lutym: kilkanaście barwnych poduszek i przepiękna stora do męskiego pokoju.
3) w marcu: hafty konfekcyjne, a więc suknie, kapelusze, torebki i t. d. pozatem nowe hafty hiszpańskie (z dżetami i flitrami), różne techniki ażurowe i t. d. oraz jak zwykle ogromna rozmaitość firanek, serwet, kap, poduszek, milieu, filetów i koronek.

KURS SZYCIA I KROJU zakończenie.

KURS MODNIARSTWA PRAKTYCZNEGO.

KURS KORONKARSTWA.

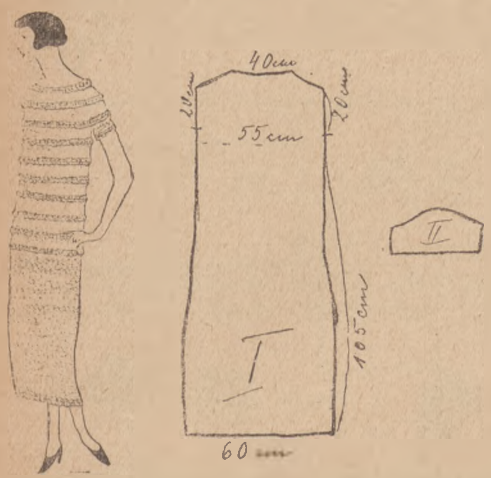
PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE BATIKÓW szale, milieu, abażury, firanki do bibljoteki.

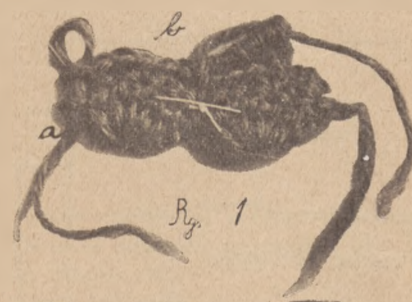
ILUSTROWANE PORADY w kwestjach eleganckiego ścielenia łóżek, dekorowania okien, zgrabnego urządzenia pokoju dla dzieci, kuchni i praktycznych drobiazgów sporządzonych „z niczego“.

Pozatem nadal nowele, poezje, miłe pogadanki na różne tematy, korespondencje teatralne, artykuły o teatrze i najsłynniejszych sztukach, o muzyce, artykuły z wszelkich dziedzin kobiecych a więc: *savoir vivre*, wychowanie, prowadzenie domu i gospodarstwa, hodowla kwiatów pokojowych, stały kącik praktyczny dla sukien haczkowanych, jumperów, przerabiania niemodnych sukien, „Dobra gospodyni“ (drobne przepisy i porady) i t. d.

SUKNIA SZYDEŁKOWANA

Nasz model wykonany z włóczki średniej grubości. Zaczyna się u góry łańcuszkiem na 80 cm długim. 1 rząd: + 5 słupków raz nawijanych w trzecie oczko, opuścić 2 oczka, w trzecie 1 niski słupek, opuścić 2 oczka, powtarzać od + aż do końca. Złączyć końce i zacząć 2 rząd: 2 oczka w powietrzu! 1 niski słupek w niski słupek i tak powtarzać naokoło, ryc. 1 a. 3 rząd: 2 oczka w powietrzu, 1 niski słuski słupek w niski słupek nawinąć szydełko 8 razy, zebrać razem, 1 oczko w powietrzu, ryc. 1 b, zrobić jeszcze 4 takich nawijanych słupków przedzielonych jednem oczkiem w powietrzu w ten sam niski słupek, następnie 1 niski słupek w niski słupek nad wysokimi słupkami i tak powtarzać naokoło. 4 rząd jak 2, 5 rząd jak 3, tak, że otrzymamy 3 rzędy 8 razy nawijanych słupków. Następnie 5 rzędów jak pierwszy rząd ryć. 2 a. Przytem dodaje się na ramionach według kroju I. Po pięciu rzędach raz nawijanych słupków następują 3 rzędy 8 razy nawijanych słupków. Następnie robi się przód i tył osobno, żeby powstały otwory na rękawy, przyczem trzeba urywać włóczkę po każdym rzędzie i szydełkować, nie obracając roboty, ażeby wzór był zawsze z prawej strony. Otwory te muszą mieć około 20 cm długości, następnie robi się obie części razem, robiąc zawsze naprzemian 5 rzędów słupków raz nawijanych, a 3 rzędy 8 razy nawijanych, aż do wysokości bioder. W ten sposób powstają wypukłe rzędy z trzech rzędów 8 razy nawijanych słupków. Od wysokości bioder robi się już tylko raz nawijane słupki jak 1 rząd, dodając nieznacznie do 120 cm całej szerokości. Na dole zakańcza się dwoma rzędami 8 razy nawijanych słupków, ryc. 2 b. Rękawki robi się podług kroju II, zakończone jak suknia u dołu, krótkie lub długie i wszywa je. Poleca się zrobić krój z papieru i kontrolować robotę zawsze podług niego.





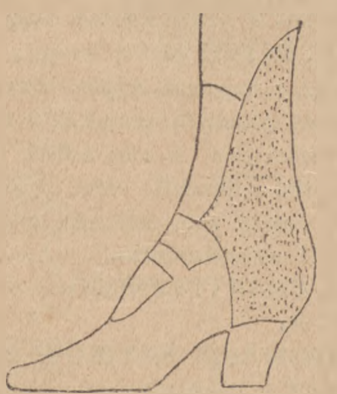


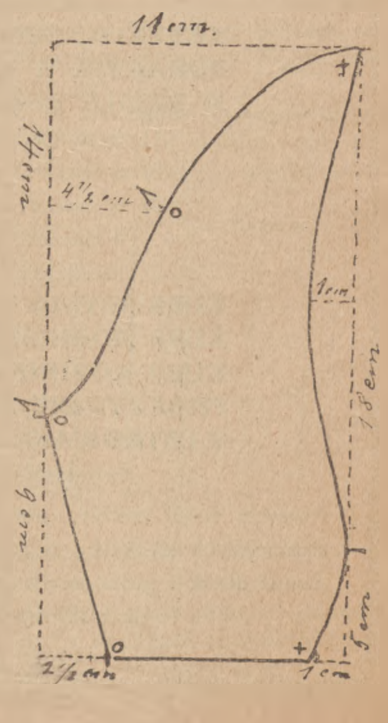
OCHRANIACZ PANTOFLI

Moda noszenia jasnych, delikatnych pończoch ma swoje złe strony, zbrukać je łatwo zwłaszcza w niepogodę przy wyciętych pantofelkach, a wskutek częstego prania łatwo się niszczą.

Aby temu zapobiec, użyć można ochraniaczy zgrabnie z czarnego lub brązowego (stosownie do bucika) nieprzemakalnego płótna uszytych, dobrze do nogi przylegających. Chronią one pończochę tak przed zamoczeniem, jak i przed zbrukaniem na ulicy.

Według podanego wzoru należy skroić cztery części z dodaniem na szwy (podana forma odpowiednia dla stopy normalnej wielkości). Po dwie części zeszywa się podług umieszczonych na kroju krzyżyków, szef rozłożyć i z lewej strony, po założeniu jeszcze raz przystębnować płasko. Resztę krawędzi zaopatrzyć w obręb i w miejscach oznaczonych kółkiem przyszyć cienką gumkę, zaopatrzoną w malutki zatrzask, który się na przeciwległym brzegu zapina. Gumka idąca przez obcas jest przyszyta stale.





DOBRA GOSPODYNI

Chińskie ciastka migdałowe. 4 filiżanki mąki, 2 masła lub tłuszczu innego dobrego i 1 1/2—2 cukru, dobrze razem wyrobić. Potem dać łyżeczkę smaku migdałowego i wyrabia się z tego ciasta kulki, które w odstępach układa się na wysmarowanej tłuszczem blasze. Do każdej kulki wciska się obrany migdał. Piecze się przy średniem gorącu.

Nieudane bicie śmietany. Często gosposie skarżą się, że surowa śmietanka zamiast ubić się, ścina się w masło. Uniknąć tego można: jeśli śmietanka stoi w naczyniu, w którem się ją będzie ubijać, przez godzinę, przed ubijaniem w chłodzie. Jeśli niema lodu, wystarczy zimna woda. Nie ubijać w naczyniu aluminjowem, bo w takiem białka i śmietana źle się ubija. Najlepsze naczynie porcelanowe lub emaljowane. Przy ubijaniu, naczynie trzymać ukośno nachylone i ubijać w ten sposób, by druciana trzepaczka zawsze blisko ściany pozostawała i nie była wyjmowana ani na chwilę z śmietanki. Skoro tylko śmietanka dostatecznie ubita, natychmiast zaprzestać ubijania.

Plamy z atramentu na białych wełnianych i bawełnianych materjach usunie się nie niszcząc materji, namoczywszy suknię na 18 godzin w mleku lub roztworze mleka kondenzowanego. Raz zmienić mleko. Plamy znikną.

Odświeżanie politury na meblach. Rozpuścić 25 gr. najlepszego szelaku w 3/4 litra spirytusu i przeciągnąć meble kilka razy kłębkiem umaczanej w tym roztworze waty. Nie trzeć, tylko przeciągać lekko w jedną stronę. Szelak rozpuścić w litrowej flaszce. Przed użyciem niech postoi 24 godzin.

Blaszane naczynia błyszczą się od czyszczenia go proszkiem z niegaszonego wapna, lub suszonym skrzypem (ostre ziele rosnące w mokrych miejscach) zmaczanym w wodzie. Skrzyp można dostać w sklepikach lub samemu zbierać i suszyć.

Poczerniałe i zbrudzone naczynia blaszane można przywrócić do pierwotnego stanu następującym sposobem: Czysty, dobrze dopalony popiół miesza się ze zwykłym olejem konopnym o tyle, by otrzymać dość gęstą papkę i tą pokrywa się całe naczynie, posostawiając je w spokoju przez parę godzin. Następnie wycierać je płóciennym płatkiem, a w końcu wełnianym. W ten sposób oczyszczone naczynie z blachy odzyska dawny połysk i świeżość. Nawet stare okopcone naczynia można dokładnie odczyścić tym sposobem.

Oczyszczanie gąbek. Delikatne gąbki toaletowe nasiąkają z czasem mydłem i tłuszczem, przez co stają się w dutknięciu lepkie i tracą spręóystość. Tak zanieczyszczoną gąbkę trzeba położyć wilgotną na talerzu i obsypać drobno tłaczonym chlorkiem wapna. Sól ta chciwie pochłaniając wodę, wkrótce rozpłynie się i przeniknie całą gąbkę, zabierając z niej wszelkie nieczystości. Po dwudziestu minutach można ją już wypłukać kilkakrotnie w czystej wodzie i wysuszyć; gąbka taka będzie zupełnie jak nowa. Czyszczą się tez dobrze w kwaśnem mleku, gdy poleżą w niem 24 godzin.

Cementowe i kamienne, mozaikowe podłogi. Po wymyciu na mokro wyciera się ścierką, skropioną olejem lnianym, a odzyskają świeżość i połysk.

Bronzowe złote ramy po obtarciu z kurzu pędzlem, obmyć delikatnie gąbką zmaczaną w spirytusie z wodą.

Klatki pokojowe ptaków chcąc zabezpieczyć przed niemiłym odorem, należy wysypać na dnie gipsem, a po wierzchu dopiero piaskiem.

Lustra najlepiej jest czyścić w następujący sposób: Kawałkiem miękkiej kredy lub rozrobioną ze spirytusem kredą natrzeć całe lustro, a potem wytrzeć je dokładnie miękką ściereczką, lub skórką zamszową.

Zmatowane lustro posmarować utłuczonym pieprzem hiszpańskim, rozrobionym ze spirytusem i wycierać miękką ściereczką.

Czyszczenie naczyń żelaznych i metalowych jak mosiężnych, miedzianych i t. p. Do jednej części kwasu solnego *(spirytus salis)* dodaje się 2 części czystej wody, miesza i przez godzinę zostawia w spokoju. Roztworem tym napuszcza się plamy z rdzy, śniedzi i t. p. na naczyniach, przez 10 minut zostawia w spokoju, a potem gliną wyciera.

Lakierowane meble, drzwi i okna. Nie należy ich nigdy czyścić ani benzyną, ani terpentyną, od których lakier się rozpuszcza. Również od wody z mydłem lub sodą tracą połysk. Najlepiej obcierać ję tylko wilgotną ścierką lub myć czystą wodą z amoniakiem. Białe plamy powstałe od rozlanej i pozostawionej wody lub od gorących naczyń schodzą od wymycia naftą. Jeśli lakier się zmatuje, można je wtedy obmyć czysto ciepłą wodą z mydłem, a po zupełnem wyschnięciu przeciągnąć czystym lakierem — będą wyglądać jak nowe.

Ułatwione pranie. Bieliznę namoczyć na noc w zimnej wodzie. Z rana dobrze wykręcić, ułożyć ciasno w baniaku i zalać niepełno, zimnym płynem.

Płyn: Na każde wiadro wody 40 deka mydła, 2 łuty parafiny rozgotować w małej ilości wody, wymieszać z zimną. Bieliznę gotuje się 1/2 godz. (od zagotowania), potem pierze raz dokładnie, płucze starannie, krochmali, etc.

Tę samą wodę z gotowania, użyć można do 2-go baniaka bielizny, byle zupełnie zimną.

Bambusowe meble czyści się, obmywając je gąbką maczaną w słonej wodzie, poczem należy je wytrzeć miękką ścierką do suchości.

POGADANKI KOSMETYCZNE

I. PIĘKNY NOS

Powiada przysłowie niemieckie, że piękny szczyt zdobi cały dom, więc też ładnie uformowany nosek jest ozdobą całej twarzy. Zapewne, że jest w tem dużo prawdy, ale pod warunkiem, by twarz sama była ładna i miała ładny owal.

Nos w swoim kształcie i kroju musi być przystosowany do twarzy do której należy, między nim a innemi częściami twarzy panować powinna harmonja, by całość robiła wrażenie piękna. Zdarza się czasem, że jakaś twarz, w każdym swym szczególe piękna i odpowiadająca zasadom kosmetyki, w całości swej jest brzydka, wynika to wówczas z dysharmonji pojedynczych rysów; przeciwnie zaś: mniej piękne części twarzy wywołują w całości miłe wrażenie, są bowiem harmonijnie ze sobą zespolone.

Dlatego też radzimy osobom, chcącym zmienić kształt nosa, by nad tą kwestją dobrze się wpierw zastanowiły. W każdym razie nos nieforemny może być zmieniony jedynie przez specjalistę lekarza, zapomocą t. zw. plastyki, która w ostatnich czasach podwójne zrobiła postępy. Szczególnie dobre wyniki daje wstrzykiwanie parafiny.

Są natomiast inne błędy i wady piękności nosa, które można usunąć przy pomocy pewnych zabiegów.

Do najczęściej spotykanych zeszpeceń nosa należy wielka ilość wągrów, tak iż nos wygląda jakby pokryty cały czarnemi plamkami. Pochodzi to z nadmiernej wydzieliny gruczołów łojowatych. Podczas gdy całe ciało, a w szczególności twarz pod względem wydzielin łojowatych bywa zupełnie normalne, wydzielają gruczołki łojowate nosa nadmiar płynnego tłuszczu, który pokrywa skórę na nosie stałym pokładem błyszczącego tłuszczu; wycieranie a nawet obmywanie nie pomaga przeciwko temu cierpieniu, gdyż niebawem nos świeci się znowu, jakby posmarowany tłuszczem.

Przyczyna tej lokalnej dolegliwości nie jest dokładnie znana, prawdopodobnie pochodzi to jednakże z podrażnienia gruczołków w jakikolwiek sposób np. przez mróz lub niedokrewność.

Leczenie tej dolegliwości, którą zresztą omówiliśmy obszernie przy leczeniu wągrów i nadmiernego wydzielania się tłuszczu nie jest trudne, polega bowiem na kilkakrotnem zmywaniu w dzień nosa możliwie gorącą wodą z dodatkiem przetłuszczonego leczniczego mydła, jak siarczano-kamforowo-perubalsamowe, lub salicylo-ichtjolowe mydło. Po umyciu należy wcierać spirytus wzmacniający, jak np.:

Rp.	Bals Peruv.	1.0
	Camph.	0.5
	Spir. Lavandul.	100.0
	M. D. S. Zewnętrznie.	

Unikać należy natomiast maści, kremów i pudrów, pierwszych i drugich dla tego, że zwiększają one jeszcze ilość tłuszczu; pudru zaś dlatego, że zatyka pory. Co najwyżej można używać pudru neutralnego, który porów nie zatyka, a tylko skórę zmatuje.

Jako cierpienie wręcz przeciwne bywa czasem wydzielanie się łoju z gruczołków, ale nie w stanie płynnym, tylko stałym. Łój pozostaje wtenczas pod naskórkiem, nie tworząc nawet wągrów, widzi się na nosie pewną ilość rozszerzonych silnie porów, tak iż wygląda jak gąbka, której otwory wypełnione są żółtawo-łojowatą masą. Jeżeli te gruczołki nacisnąć w sposób odpowiedni t. j. z boku, wówczas wychodzą te koreczki łoju w postaci małych robaczków. Po gwałtownem wydaleniu tych łojowatych koreczków pozostają przez czas pewien rozszerzone jakby małe krągłe otworki, a nos, zeszpecony takiemi powiększonemi porami wygląda brzydko.

Leczenie jest podobne jak przy poprzedniem cierpieniu, a więc częste zmywanie nosa gorącą wodą z leczniczem mydłem, o potem wcieranie wzmacniających środków na spirytusie, które zamienić można również i następującym płynem:

Rp. Tinct. Myrrhoe
Tinct. Ratanh aa 5.0
Spir. Rosar. 120.0
M. D. S. Zewnętrznie.

Alfa

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad w sprawach kosmetycznych i gospodarskich i w kwestjach sztuki indywidualnego ubierania się.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres.

P. Lipszycównej. W odpowiedzi na otrzymany list donosimy uprzejmie:

1) Materjał, o którym Pani wspomina nadaje się w zupełności na suknię wieczorową. Polecilibyśmy modele z nr. 14 „Świata Kobiecego“, a to: 5951 albo 5911.

Przy modelu nr. 5951 może tunika zamiast futrem być obszyta frędzlą z małp, co taniej wypadnie, a jest stosowne do *crêpe de Chine*'y.

2) Na skromną, praktyczną a szykowną wizytową suknię nadaje się model nr. 5914 z numeru 14 „Świata Kobiecego“. Jako materjał ryps wełniany, ryps jedwabny, albo *crêpe marocain.* Kolor taki w którym Pani najładniej.

3) Na ulicę noszone są obecnie pantofelki ze skóry bronzowej lub czarnej, z jednym paskiem. Obcasy niskie, albo co najwyżej średnie. Pończochy jasne, srebrno-popielate, *champagne*, koloru ciemno spalonej skóry i odcienie tychże.

Na wieczór używane są pantofelki bardzo strojne i fantastyczne z lamy, brokatu, z kolorowych skórek, na wysokich obcasach, z bogatemi klamrami. Mogą być również cienkie lakierki. Pończochy w odcieniu sukni, lub jej przybrania.

4) Torebki na ulicę powinne być skromne, ze skóry w dowolnym kolorze, gatunku i kształcie. Niezbyt małe ze względu na praktyczny cel, do którego mają służyć. Wyczerpujące wyjaśnienia w kwestji torebek znajdzie Pani w odpowiedziach redakcji w nr. 14-tym „Świata Kobiecego“.

Rękawiczki są najpraktyczniejsze z zamszy do prania.

Kapelusz mały, skromnie przybrany. Kolory wszystkie dozwolone uważać jednak na zharmonizowanie z kostjumem, czy płaszczem. Jako materjał: filc, skóra, dywetyna, różne rodzaje krep — może być również plusz lub aksamit.

5) Odświeżyć cerę można masażem. Radzimy udać się do jakiegoś Instytutu kosmetycznego. Skórę odtłuścić można w dniu zabawy przez kilkakrotne zmycie jej dobrą wodą kolońską i zapudrowanie suchym pudrem.

Młoda mężatka z Pomorza. Nie podała nam Pani swego adresu nie możemy więc przesłać Pani żadnych przepisów, zaś nie mamy miejsca na wydrukowanie ich tutaj — tembardziej, że są to potrawy ogółowi doskonale znane Na drugi raz prosimy o adres.

Jeko. Cerę ma Pani przystosowaną do całości t. j do włosów, do oczu i t. d. Zmieniać jej nie trzeba, tembardziej, że śniada cera jest ładna.

Ręce można wydelikacić, myjąc zawsze letnią, przegotowaną wodą, używając na noc *Pâte des Prelats* i wkładając luźne rękawiczki. O czerwoności nosa przeczyta Pani w n-rze 1-szym. Łupież nie powstaje od wody, trzeba go leczyć specjalnie. Odsyłamy Panią do odpowiedniego zeszytu „Świata Kobiecego“ t. j. nr. 12 z roku 1923.

Anetce. Pyjama jako poranny strój, może robić bardzo wdzięczne wrażenie, o ile noszona jest przez smukłą kobietę. Osoby szerokie w biodrach niechaj wyrzekną się raczej tego modnego artykułu, który wymaga chłopięcej sylwetki. Ponieważ nie podaje Pani swych rozmiarów — więc odpowiemy w uwzględnieniu 2 możliwości: smukłej — i na pograniczu między smukłą a tęższą wahającą się sylwetką. Dla smukłej nadaje się przez Panią model 4984 z nr-u 12-go „Świata Kobiecego“. Natomiast jeżeli jest Pani niskiego wzrostu, nie radzimy materjału grubo wzorzystego. Korzystniej byłoby wybrać drobny rzucik, krateczkę, prostopadłe linijki lub wogóle delikatny, misterny w zarysach wzór.

Jeżeli zaś sylwetka nie jest zdecydowanie tęga, ale i nie zupełnie smukła — pyjama musi być koniecznie — to radzilibyśmy spodenki jasne, a górą ciemne, w biodrach bez fałdów, bez oszyć futrem lub jakichkolwiek ozdób. Wysmuklają również pionowe paski, ciemne z jasnem, niezbyt wąskie, ale i nie za szerokie.

Zmarzluchowi. Należy Pani do typu „frileuse“, a wskutek tego chcąc za wszelką cenę zostać smukłą, nie używa cieplejszych dessous i ziębnie stale. Czy Pani wyobraża sobie, że nasze ciepłe intymności muszą koniecznie składać się z kilku grubych kawałków na wzór naszych prababek? Ależ nic podobnego! Dzisiejsza kobieta łączy praktyczne swoje potrzeby z wymogami estetyki i mody. Wystarczy włożyć na zwykłą koszulkę jednolity trykocik, cieplutki choć cienki, aby osiągnąć pożądany cel; przy zachowaniu smukłej linji utrzymanie ciała w odpowiedniej ciepłocie.

Krojem takiego jednolitego trykocika sięgającego od ramion do kolan, możemy w każdej chwili służyć — a ciepły materjał trykotowy w różnych kolorach, w szerokości 160 cm. w cenie 16 zł. za metr jest prawie we wszystkich sklepach do nabycia.

Zofji L. w Łodzi. Plamy z kawy na aksamicie wytrzeć jasną szmatką, umaczaną w spirytusie mydlanym, a potem osuszyć gąbką dobrze wyciśniętą. Jeśli płaszcz Pani nie ma zbyt wrażliwego koloru, można próboować roztworu amoniakowego (1/2 łyżeczki amoniaku na filiżankę wody).

TREŚĆ NUMERU 15-tego:

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Skład Redakcji: **Janina Łada-Walicka, Wanda Tomaszewska.** Roboty ręczne: **M. Geszwindowa**

Z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego.